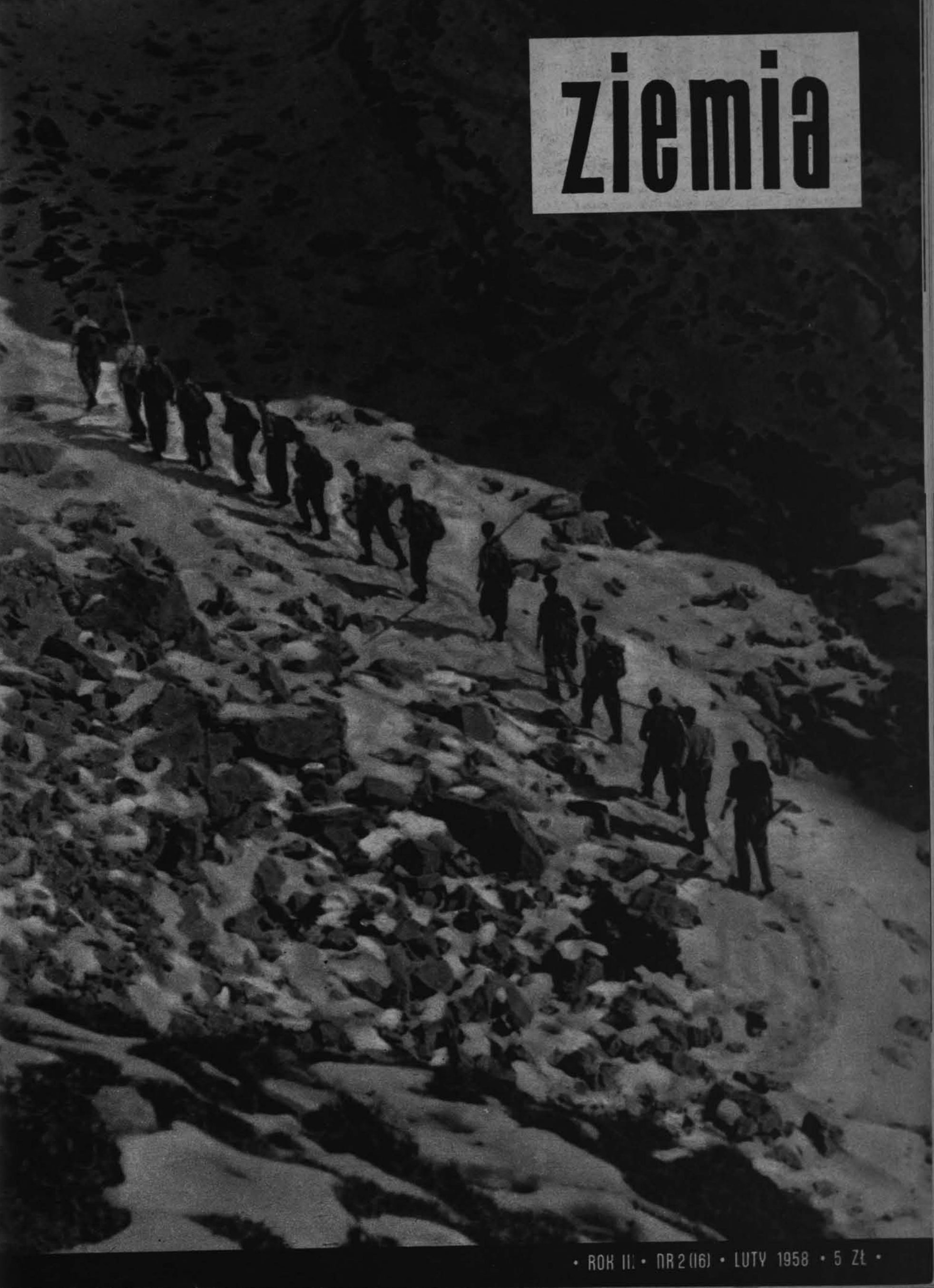


ziemia



PAROWCE

„Widok batu jest dziwny, jest to jeden z najpiękniejszych wynalazków tegoczesnych. Cała machina parowa jest w głębi batu i zupełnie pokryta, ta machina obraca koła, które są z obu stron batu i zastępują wiosła. Dla dania wielkiej mocy ogniovi przyprawiony jest długi żelazny komin. Ten u dołu jest na zawiasie i podpływając pod most schyla się w tył za pomocą powrozu, który go utrzymuje w tym schyleniu.

„Rudel do kierowania z tyłu, jak u zwyczajnych batów. Koła żelazne jak młyńskie na rzekach, całe na wierzchu i tylko spodem dotykają wody. Okryte są pudełkiem, żeby nie pryskały wodą. Koła robią szum wielki jak we młynie. Dym buchający z komina zostawia na powietrzu ślad długi...”



U góry: francuski okręt wojenny kołowo-żaglowy z pierwszej połowy XIX wieku. Poniżej: trachowiec motorowy.

Taki opis znajdujemy w „Dzienniku podróży do Anglii, 1820—1821” Karola Sienkiewicza, który udał się tam celem poszukiwania poloników w bibliotekach i zakupu dzieł do księgozbioru księcia Adama Czartoryskiego w Puławach.

A czy wiecie, w którym roku pojawił się pierwszy statek wyposażony w maszynę parową? Już przed dwustu pięćdziesięciu laty w roku 1707. Gdzie? Na Fuldzie, lewym dopływie Wezery. Był to mianowicie statek z parową maszyną tłokową zbudowany przez francuskiego uczonego, fizyka i matematyka, Denisa Papina. Opis tej maszyny — również przez siebie wykonanej — i statku maszyną tą napędzanego zamieścił Papin już w roku 1690 w wydawanym w Lipsku czasopiśmie „Acta Eruditorum”. Pierwszy na świecie parowiec wzbudził zawiść przewoźników na Fuldzie: zaniepokojeni o swe zarobki — statek Papina poruszał się bowiem o wiele szybciej niż ich łódzie — wtargnęli na parowiec i na oczach wynalazcy zupełnie go zniszczyli.

W roku 1755 Anglik James Watt wybudował maszynę parową nadającą się do szerszego zastosowania. Pierwszą okrętową maszynę Watta zainstalowano w roku 1801 w Szkocji, na statku „Charlotte Dundas”.

Poruszała ona koła łopatkowe znajdujące się za rufą statku. Później koła napędowe zaczęto umieszczać po obu stronach kadłuba, niemniej tylnokołowce bywają do dziś jeszcze używane.

Rychło statki parowe oglądać też mogli i Polacy w kraju: w Polsce pojawiły się one w siedem lat po cytowanym opisie Karola Sienkiewicza. Mianowicie w czerwcu 1827 roku niejaki Wolicki sprowadził z Anglii do Gdańska dwa parowce, które zapoczątkowały żeglugę parową na polskich przybrzeżnych wodach Bałtyku i na naszych rzekach.

„Gazeta Krakowska” w numerze 58 z r. 1827 tak o tym donosiła:

„Dwa statki parowe ... przybyły do Gdańska ...; jeden z tych statków zwany „Księżę Xawery”, z pełnym aparatem na siłę koni 40, jest przeznaczony do podróży na morzu; drugi, „Victory” zwany, budowany płasko, ma być holowany do Warszawy; jest on także z maszyną na siłę koni 60 opatrzony, nie ma [jednak] kotła, który jako uszkodzony, w Anglii zostawiono. A że statki parowe są nowym zjawiskiem dla miasta Gdańska, przeto konsul jenerálny rosyjski, radca kolegiálny, M. Makarowicz, chcąc zrobić przyjemność mieszkańcom sprosił na dzień 29 czerwca na pokład tych statków

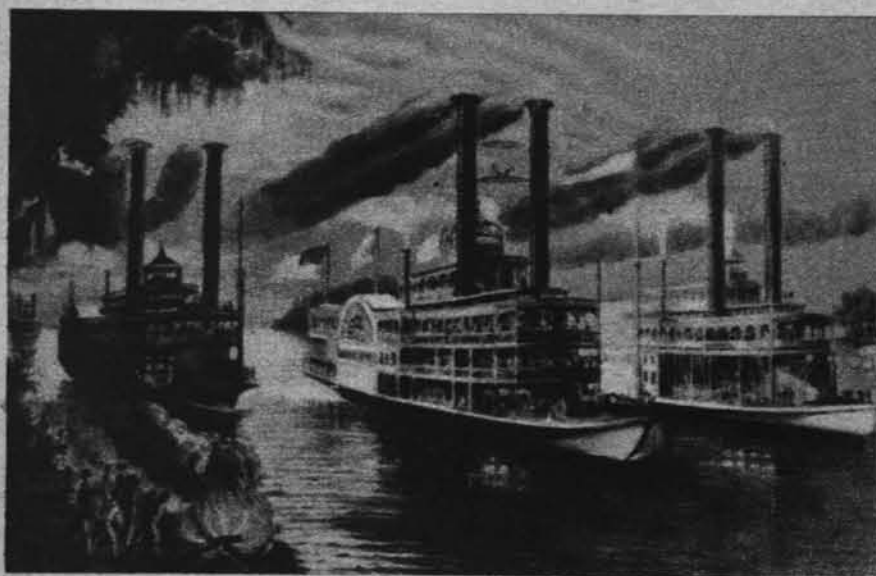


[znaczniesze] osoby stanu wojskowego i cywilnego i dwieście pięćdziesiąt osób obojej płci przyjął wspólną ucztę — na pokładzie „Victory”. Po obejrzeniu obok stojącego statku „Księżę Xawery” posunął się tenże statek naprzód do przysposobienia pary, a będąc przygotowanym do działania (co 10 minut trwało), postąpił (Wisłą w okolicę wyspy Holm, dziś zwanej Ostrowem), ciągnąc za sobą statek „Victory” z gośćmi będącymi. Wystrzał z dział rozpoczął spacer. Lud mnogi brzegi Wisły okupujący, dał oznaki zadowolenia przez trzykrotne „hurra!”.

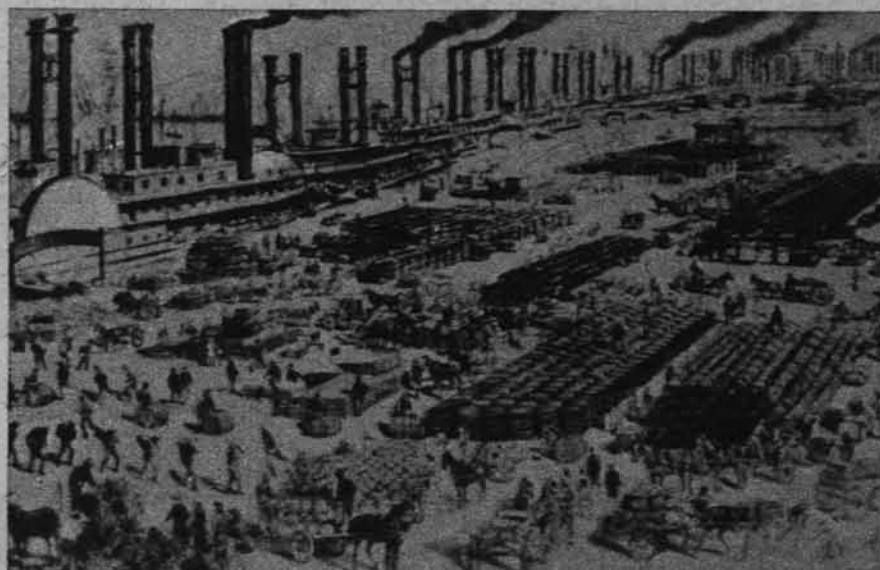
Inaczej natomiast przyjął statki wy-

dawany w Gdańsku przez miejscowego bibliotekarza P. H. Schnaasego tygodnik o dość przydługim tytule: „Der Gesprächige, oder Mitteilungen aus dem Gebiete der Literatur und Kunst, des Lebens und der Gewerbe zunächst in Beziehung auf Danzig und Königsberg”. W numerze 1. (1827 r.) tego czasopisma ukazał się mianowicie artykuł wyszydzający owe parowce, pływające pod banderą rosyjską, na której był umieszczony orzeł polski. Artykuł spowodował zażalenie rosyjskiego konsula gene-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4



Wyścigi parowców na rzece Missisipi.



Parowce przy nabrzeżu w porcie Nowy Orlean.

ZYGMUNT BROCKI	
ZBIGNIEW SKOWROŃSKI	
JERZY KOŁATAJ	
JAKUB ANTONIUK	
DAWNE POCZTY	
ANNA KOWALSKA LEWICKA	
JANUSZ BOGDANOWSKI	
ZYGMUNT PĘCHERSKI	
WIESŁAW TOMASZKIEWICZ	
LESZEK DZIĘGIEL	
PRZEMYSŁAW BURCHARD	
RYSZARD BRYKOWSKI	
DAWNE DRUKI	
ORLI LOT	
RECENZJE	
KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ	
TADEUSZ CHRZANOWSKI	

Parowce	2
Krajoznawstwo a turystyka	4
Szczepreszyn	5
Fortyfikacje Gen. Rośe	6
	9
Haft podhalański	11
Młyn pod latarnią	12
Bunt Grzybowski	14
Końskie Jarmarki	16
Fantazja jenerala	18
Relacja dyskretna...	20
Zagrożona cerkiew	22
	23
	24
	26
	28
Pałac i kościół w Wierzbicy	31

NASZA OKŁADKA

Liczbę na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej miejscowości.

przedstawia grupę grotolazów maszerujących do Groty Lodowej w Tatrach Zachodnich. W dziale zagranicznym przeczytacie o grotolazach w Wenezueli.



ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — MARIAN KORNECKI i LESZEK DZIĘGIEL, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŁSKI, układ graficzny — MACIEJA KUCZYŃSKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Zam. nr 779/57. S-81. Drukarnia Narodowa w Krakowie

PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100021) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KĄDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować na-

szcze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPRIEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać we Wzorcowni Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, a także w sklepach prasy antykwarycznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii — £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,27, rocznie 1, 10,7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miastkich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczati” NRD — Zeitungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. I, Aust. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tesin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current-Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Hallepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-eme, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyne, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia,



ralnego w Gdańsku zarówno u władz państwowych w Gdańsku, jak i w pruskim ministerstwie spraw wewnętrznych w Berlinie. Jak wynika z akt, władze berlińskie udzieliły cenzorowi prasy w Gdańsku nagany za jego niedopatrzność, a redaktorowi pisma zagroziły w wypadku podobnego artykułu konfiskatą numeru i postępowaniem karnym.

„Książę Xawery” swój pierwszy rejs eksploatacyjny odbył 15 lipca 1827 roku: z 65 pasażerami popłynął on do Soboty, jak to wówczas niekiedy nazywano Sopot. Chodził też z wycieczkami na Hel. Był to więc na Zatoce Gdańskiej początek turystyki morskiej uprawianej przy pomocy statków parowych. Opis jednej z takich wycieczek z tegoż roku, zostawił nam Tadeusz Krepowiecki, w wydanej w dwa lata później pracy pt. „Przejażdżka w Prusach Polskich” (na łamach dwóch czasopism: „Kolumb” t. V i „Gazeta Polska”).

„Znajdowały się w porcie gdańskim dwa statki parowe. Z tych jeden stary, zwany „Victory”, przeznaczony na Wisłę, drugi nowy i ozdobniejszy pod nazwiskiem „Książę Xawery”...

Dnia 24 sierpnia wypłynąwszy z [Nowego portu] okręt stanął blisko brzegu Soboty... Za danym z działą wystrzałem popłynęliśmy na baczach ku okrętowi. Już na nim znajdowało się wielu bardzo mieszkańców Gdańska, których liczbę powiększyło towarzystwo z Soboty. Ruszył statek przy odgłosie wojskowej muzyki, która w całej odzywała się podróży. ... Przestrzeń czterech mil polskich we dwóch odbył godzinach. [Rzucono] kotwicę; zbliżyły się rybackie statki i wysiedliśmy na ląd w Heli”.

Statki te nie mogły być wzięte do służby portowej w Gdańsku, gdyż obowiązywał tu stary zakaz utrzymywania ognia na statkach. Opierając się na tym zakazie rada miejska i władze pruskie zdecydowanie negatywnie ustosunkowały się do uruchomienia żeglugi parowej w Gdańsku, wobec czego statek „Victory” już w roku 1828 sprowadzono do Warszawy. „Kurier Warszawski” donosił wówczas:

„Statek parowy z Anglii przypłynął pod Warszawę. Pierwszy to raz podobny widok ukazał się w naszej stolicy. Statek ten stanął obok mostu i słychać, iż właściciel myśli dozwolić publiczności do niego przystępu za złotego jednego od osoby dorosłej i piętnaście groszy od dziecka”.

Stał on pod Warszawą także w roku następnym: w cytowanym wyżej opisie Krepowieckiego, wydanym, jak już wiemy, w roku 1829, tam gdzie jest mowa o statku „Victory” dodano o nim w przypisie: „Ten sam, który dotąd pod Pragę na Wiśle zostaje”.

W roku 1830 do Warszawy sprowadzono także „Książę Xawerego”. Przydatność obu statków do żeglugi na Wiśle okazała się jednak niewielką: miały one bowiem zbyt duże zanurzenie, co zaznaczył już F. Miaskowski w artykule pt. „O przedsięwzięciu żeglugi parowej na Wiśle”, ogłoszonym w t. V czasopisma „Biblioteka Warszawska” w roku 1848.

Dalsze losy parowca „Victory” nie są znane, mamy natomiast trochę szczegółów dotyczących dalszej historii „Książę Xawerego”. Statek ten sprzedano przedsiębiorstwu pogłębiarskiemu na Zalewie Wiślanym i tam go w roku 1836 widział podróżnik polski Teodor Tirpplin. Spotkanie to opisywał w wydanych w roku 1844 w Poznaniu „Wspomnieniach z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii i Państwie Marokańskim”. Mianowicie idący z Królewca zagłowiec, na którym znajdował się Tirpplin, krótko po wyjściu z ujścia Pregoty do Zalewu Wiślanego osiadł na mieliźnie. Na pomoc podążył mu właśnie parowiec „Książę Xawery”. Zagłowiec został przez niego ściągnięty z mieliżny i mógł płynąć dalej do Piławy.

Na Wiśle żegluga parową wznowiono dopiero około roku 1840. Uruchomił ją znany przemysłowiec warszawski, który w roku 1819 przeniósł się z Krakowa do Warszawy, Piotr Antoni Steinkeller.

Zebrał: Z. Brocki

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

ZBIGNIEW
SKOWROŃSKI

KRAJOZNAWSTWO A TURYSTYKA

Dyskusja na temat turystyki i krajoznawstwa, tocząca się na łamach „ZIEMI” zaniepokoiła mnie mocno. Kim ja właściwie jestem w świetle wypowiedzi dyskutantów? „Włóczę się” od dzieciństwa — pieszo, pociągami, rowerem, na kajaku. Chętnie zwiedzam obiekty godne widzenia. Widziałem wiele starych miast, ruin, zabytków, zwiedzałem różne muzea, fabryki i kopalnie, studiowałem dla własnej przyjemności przeszłość spotykanych obiektów, zgodnie z zaleceniami „Przewodników” i monografii spostrzegałem i obserwowałem na wólczech turystycznych ciekawostki etnograficzne zwiedzanych terenów — stroje, budowle i zwyczaje... Jestem więc chyba krajoznawcą.

Ale z drugiej strony podczas urlopu najbardziej lubię okolice dzikie i bezludne, zaniedbane gospodarczo lasy i rzeki, biwaki pod namiotem, gotowanie na ognisku; nie czytam wtedy gazet ani nie słucham radia — gołę się tylko w wypadku nieodzownej konieczności. Obozuję jak najdalej od ludzkich osiedli, chociażby się w nich roilo od zabytków i innych atrakcji krajoznawczych. Krótko mówiąc, uprawiam najchętniej „turystykę beztreściową”. I, wobec tego, w zestawieniu ze sloganem „nie ma turystyki bez krajoznawstwa”, jestem jakimś prymitywem turystycznym.

Obserwacja innych turystów doprowadziła mnie do stwierdzenia, że grzechem „turystyki bez krajoznawstwa” grzeszy poza mną jeszcze wielu innych ludzi. Aczkolwiek nie można im zarzucić braku kultury turystycznej — śmiecie zakopują, biwak pozostawiają „w takim stanie, w jakim chcieliby go zastać”, nie wyskrobują swoich nazwisk na starych murach, ani skalach, nie krzyczą w górach, braci turystycznej udzielają zawsze pomocy, nie kradną kur, ani gęsi, a nawet nie podbijają w polu kartofli, wodkę zaś piją tylko wtedy, kiedy zachorują na trasie. Słowem — turyści na poziomie. Mało tego — na ogół wiedzą dość dużo o terenie, przez który wędrują. Ale propozycję zwiedzenia pobliskiego PGR-u, czy Wzorcowej Hodowli Ogierów Zarodowych zbywają machnięciem ręki. Najbardziej reklamowana Fabryka Gwoździ, czy superfosfatu jest dla nich straszakiem. Omijają je z daleka, aby namiot rozbić gdzieś w lesie na zupełnym odludziu.

Po pierwszym momencie zawstyżenia spowodowanego potępieniem turystyki bez krajoznawstwa, zjawiał się we mnie bunt zamulowanego turysty. Czy dlatego, że jeden mój wypad jest poświęcony zwiedzaniu Nowej Huty, drugi oglądaniu Arkadii i Nieborowa, a trzeci i czwarty bezplanowej i nie dydaktycznej włóczędze po rzekach i jeziorach, wśród bagien i trzcin, zdala od ludzi i cywilizacji — zasługuję na potępienie i pogardę?

Coś tu nie jest w porządku. Jestem przecież z całym szacunkiem dla krajoznawstwa i doceniam jego wychowawcze znaczenie. Z ogromnym zainteresowaniem czytuję pisma geograficzne i krajoznawcze, ale czasem chcę się niczego nie uczyć, zapomnieć o problemach społecznych i gospodarczych, o przeszłości i przyszłości kraju, nie robić poza wiosłowaniem, lub bezczynnym spływaniem z prądem rzeki. A tu mi mówią — nie ma turystyki bez krajoznawstwa. Dlaczego tak ostro i rygorystycznie? O wiele bardziej trafiłoby mi do przekonania odwrócenie tego sloganu: nie ma krajoznawstwa bez turystyki. Ale w ogóle poco łączyć je na stałe? Przecież obydwa kierunki — turystyka i krajoznawstwo mają pełną rację bytu niezależnie od siebie. Tym bardziej, że często się uzupełniają.

Zastanówmy się, jakie cele mają te obydwa kierunki.

Aczkolwiek nie mamy ścisłej definicji krajoznawstwa, o czym była już zresztą mowa w „Rozmowach” w „Ziemie” możemy ramowo wyodrębnić elementy tego pojęcia. Zrobimy to, nie siląc się bynajmniej na ustalenie pełnej i ostatecznej definicji.

Wyobrażam to sobie tak: krajoznawstwo jest to poznawanie świata, kraju lub regionu. Jest to poznawanie nie zawodowe, a amatorskie, niekoniecznie związane z zawodem ale również z zainteresowaniami ubocznymi. Te zainteresowania mogą być bardzo różnorodne. Na przykład: architektura, przyroda, etnografia, sztuka ludowa, zakłady produkcyjne, gospodarka rolna, gospodarka wodna, archeologia, geologia, topografia.

Zestawienie to na pewno nie wyczerpuje wszystkich zagadnień mogących zainteresować krajoznawcę, przypuszczam jednak, że jest wystarczające dla naszych potrzeb. Poznawanie tych elementów jest więc celem krajoznawcy. Najlepszym zaś sposobem ich poznawania jest właśnie turystyka wszelkiego rodzaju. Jak już wspominałem nie ma to być poznawanie zawodowe, naukowe, chociaż na wyprawie krajoznawczej każdy fachowiec w swojej specjalności może się stać nieocenionym informatorem dla zainteresowanego krajoznawcy.

Określone zainteresowania — główne i uboczne — stwarzają nam nowy aspekt krajoznawstwa — kierunkowość.

A teraz — nie jest prawdą, że tylko dawniej, kiedyś, amatorskie badania krajoznawcze były poważnym wkładem do oficjalnej nauki. Na pewno i obecnie w wielu dziedzinach, a zwłaszcza etnografii, archeologii, inwentaryzacji zabytków przyrody i architektury wkład amatorów krajoznawców może być olbrzymi. Wkład ten jednak wtedy dopiero będzie w pełni możliwy, kiedy zachowamy w krajoznawstwie właśnie specjalizację krajoznawców, właśnie — kierunkowość! Nie wchodzę w techniczne szczegóły jej realizacji. Mogą to być zarówno krajoznawcze kółka regionalne, jak i kółka terenowe, uczelniane, czy międzyszkolne. Może powinny być inwestowane przez państwo a może mają się opierać tylko na aktywności społecznej. Tak czy inaczej — będą pożyteczne.

CIĄG DALSZY NA STRONIE 9





Szczepietnica znany jest tylko z żartobliwego powiedzenia: „w Szczepietnicy chrząszcz brzęczy w trzcinie”. Poza tym wiadomo, że w „Trylogii” widać było z murów Zamościa łunę palącego się Szczepietnica, a kto czytał pamiętniki gen. Roweckiego z 1939 r., ten mógł się dowiedzieć, że właśnie na szosie pod tym pechowym grodem zabrakło mu benzyny podczas wrześniowego odwrotu. Pechowym zresztą nie z powodu owej benzyny. Przede wszystkim dlatego, że hetman Jan Zamojski wpadł na pomysł założenia sławnego miasta Zamościa, przez co cały rozwój pobliskiego Szczepietnica został raz na zawsze w historii zahamowany. Stał się zapomnianym kątem zielonej lubelskiej prowincji.



Fragment podcieni przy
ulicy Zamojskiej w
Szczepietnicy. Wg ry-
sunku Z. Kłosa.
uczni III kl.

SZCZEPIETNICA

JERZY KŁOŚ



Nie wiadomo, od czego pochodzi nazwa miasta. Jedni dopatrują się tu zrostu „szcze wierzyny”, co miałoby oznaczać, że są tu jeszcze wyżyny; inni kojarzą słowa „szcze breszt” i genealogię nazwy widzą w temperamencie mieszkańców skorych do „ujadania i wygadywania”. Pierwsi rozumują poprawnie, bo miasto leży istotnie na krańcu Roztocza Lwowsko-Tomaszowskiego, wtopione w pagórkowaty krajobraz nad brzegiem Wieprza; ale i drudzy nie są bez racji: rozporządzają dowodami chociażby historycznymi. Oto one:

W roku 1620 umarł obywatel Szczepietnicy, szlachcic, arianin Powala. Gdy kondukt pogrzebowy przetrącał przez rynek „żaki szkolne i pospólstwo miejskie, chcieli trumnę obalić na ziemię i zwłoki poharbić. Kiedy żona nieboszczyka stanęła w obronie zwłok męża, zezłono ją wraz z p. Złotnicką, również szlachcianką, obywatelką miasta. Pani Powalina pozwała przed sąd ówczesnego właściciela miasta Szczepietnicy, Tomasza Zamojskiego, burmistrza i radnych, którzy w czasie tego zajścia będąc na miejscu, zachowywali się biernie i nie okazali należytej pomocy”.

Dokument, jaki w związku z tym incydentem został wydany przez Tomasza Zamojskiego 6 sierpnia 1620 roku jest świadectwem ener-

gicznego przeciwstawienia się wszelkiemu gwałtowi którejkolwiek ze stron:

„Aby to niedbalstwo swoje stronie powodowej w nagrodę żalu i obelżenia, które się za takowym gwałtem stało, grzywnien sto oddać (...) Na które to sto grzywnien tak samo urząd, jako i katolicycy obywatele tameczni wszyscy składać się mają”.

A dalej: „Obywatelom tejże sekcji arianskiej surowie rozkazuje, aby w odprawianiu obrzędu i w schadzkach swych prywatnych i publicznych żadnej okazji do tumultu i zgorszenia u siebie nie dawali”.

Szczepietnica lat swojej młodości nie był zapomnianą prowincją, a już nie miał na pewno nic z dzisiejszej martwoty.

Pominąwszy to, że leżąc na szlaku północ-południe stanowił ważny punkt handlowy — był ustawicznie rozpięany walkami i tarciami wewnętrznymi: katolicy, arianie, unici, prawosławni, żydzi; kościół, zbór kalwiński, cerkiew, synagoga. W mieście, które nie miało ani jednej brukowanej ulicy i ani jednego muranego domu, taka obfitość świątyń coś znaczyła. Była wyrazem ścierania się na tym terenie najróżniejszych prądów kulturalnych i politycznych, będących niejednokrotnie w znowie z prywatnymi interesami i ambicjami.

Pierwsze dokumenty wspominające o tym mieście pochodzą z roku 1366. W chwili przyłączenia przez Kazimierza Wielkiego Rusi Czerwonej do Polski, Szczepietnica jest już zameczkiem obronnym. Kiedy Ludwik Węgierski po śmierci Kazimierza Wielkiego oddaje Ruś Czerwoną Władysławowi Opolczykowi — bezpośredni panem Szczepietnicy jest Dymitr z Goraja, były podskarbi i mąż zaufania ostatniego z Piastów oraz wielki zwolennik kazimierzowskiej idei ścisłego związku Rusi z Polską. Ponieważ idea ta — popierana zresztą także i przez Opolczyka — obca była Ludwikowi, ten odbiera Ruś Opolczykowi przyłączając ją do Węgier. Szczepietnica tej zmiany nie odczuł — pozostał u dotychczasowego dziedzica prawdopodobnie z racji powagi, jaką cieszył się tenże wśród szlachty sąsiednich województw.

Okres pomyślności dla miasta zaczyna się jednak od czasu przyjazdu do Polski królowej Jadwigi. Dymitr — wierny swej polityce — obecnie zwolennik małżeństwa z Jagiellą, powraca do dawnego znaczenia. Przywilej z r. 1388 czyni go wyłącznym panem „dominium Scebrzesin” — to jest posiadłości, do której należały także miasta Turobin, Kraśnik, Goraj i sto kilkadziesiąt wsi. Z tamtego okresu pochodzą dwie

budowle: cerkiew i kościół św. Mikołaja.

Po śmierci Dymitra w r. 1404 dobra szczepietnickie kilkakrotnie zmieniają właścicieli, a ponowny okres pomyślności miasta zapanuje od chwili przejścia dóbr w ręce Górków — magnatów wielkopolskich, którzy w wieku XVI słyną jako wielcy zwolennicy i szerzyciele reformacji. Szczepietnica staje się miejscem, gdzie nowe teorie krzewią się szybko, znajdując gorące poparcie u panów na zamku. Budynek kościelny zostaje zamieniony na zbór kalwiński, przy którym powstaje kalwińska szkoła. Dla skuteczniejszego szerzenia reformacji Górka sprowadza swoich duchownych. Odwiedzają go tutaj Stankar i Feliks Kruciger. Ten, który w r. 1551 pobłogosławił związek byłego księdza Stanisława Orzechowskiego z Magdaleną Chelmską.

Gdy w r. 1583 lub w rok później panami Szczepietnicy stają się Zamojscy, obejmują oni miasto, w którym obok prawosławia najwięcej zwolenników wśród szlachty i mieszczaństwa liczy wyznawstwo kalwińskie. Równoległe do powstawania tzw. reakcji katolickiej i tu stosunki wyznaniowe ulegają przeobrażeniu. Mnożą się akty nietolerancji i dys-

DOKOŃCZENIE NA STR. 9

FORTYFIKACJE GENERALA ROSE

Znany z „Potopu” Sienkiewicz zdradca, książę Bogusław Radziwiłł, w jednym ze swych listów pisanych w końcu lutego 1656 r. do króla szwedzkiego Karola Gustawa informował go, że Tykocin „był wielkiej wagi, bo stąd całą okolicę szeroko i daleko w karbach postuszeństwa utrzymać można”. Dlatego też prosił króla o przysłanie mu w pomoc 3000 rajtarów, w celu odparcia oblegających tę fortecę wojsk wojewody witebskiego Pawła Sapiehy.

System obronny

Przytoczony wyjątek z listu wskazuje, że nie chodziło tu o sam tylko zamek, gdyż po to, aby zeń całą okolicę „w karbach postuszeństwa utrzymać” trzeba było wówczas znacznej załogi, zaopatrzonej głównie w oddziały kawalerii, dla pomieszczenia których w samym zamku tykocińskim nie mogło być ani zbyt dużo miejsca, ani też dostatecznej ilości paszy. Chodziło o pewien szerszy system obronny. I ślady tego systemu znajdujemy istotnie w niektórych zachowanych zabytkach oraz opisach z okresu szwedzkiego „potopu”, zwłaszcza zaś w liście jednego ze świadków zdobycia zamku tykocińskiego przez wojska Pawła Sapiehy. Pełny tekst listu przytacza Jan Jarnutowski w swojej krótkiej monografii Tykocina.

Główną i podstawową częścią tego systemu obronnego był zamek w Tykocinie. Stanowił „wielkiej wagi” twierdzę i punkt strategiczny, od którego posiadania zależała nie tylko możliwość utrzymania „w karbach” całej okolicy ale również w dużym stopniu i utrzymania w swoim posiadaniu całej Litwy i Prus Wschodnich.

Wzniesiony w 1569 r. z polecenia króla Zygmunta Augusta przez słynnego nadwornego inżyniera i archi-

tekta Joba Braitfusa obronny zamek tykociński był obok Kamieńca Podolskiego (ufortyfikowanego przez tegoż Braitfusa w latach 1541–1544) jedną z najważniejszych i najpotężniejszych twierdz na terenie całego ówczesnego Królestwa Polskiego. Obronność tego zamku zapewniały rozległe bagna i rozlewiska rzeki Narwi, okalające go ze wszystkich stron i uniemożliwiające zdobycie w ciepłych porach roku. Ponadto Tykocin był kluczowym punktem nie tylko dla Podlasia, ale i w stosunku do Litwy i Korony. Leżał bowiem w węzle komunikacyjnym łączącym Polskę, Litwę, Ruś i Prusy. Posiadanie Tykocina zapewniało też kontrolę rzeki Narwi, którą płynęła wówczas lwią część całego handlu zbożem i drewnem, tych bogactw Podlasia, wysyłanych głównie do Gdańska. Prawie cały też handel Polski z Litwy płynął Narwią do Tykocina, a stąd przeciągany był lądem do Niemna. Nic dziwnego więc, że tu znajdował się niegdyś główny arsenał Królestwa Polskiego, a sam zamek utrzymywano w stałym pogotowiu wojennym. Zmagazynowane w fortecy wielkie ilości materiałów wojennych i broń wysyłać można było drogą wodną do wszystkich ważniejszych miast i punktów Królestwa. Do Warszawy, Sandomierza, Krakowa, Torunia, Grudziądza i Gdańska, a także do Brześcia i Lwowa, gdyż ten ostatni gród leżał względnie blisko takich dopływów Wisły, jak San i Bug.

Klucz Podlasia

Toteż w czasie najazdu szwedzkiego obie walczące strony dążyły do opanowania Tykocina. Zajęcie go ułatwili Szwedom Radziwiłłowie i to natychmiast po wybuchu wojny polsko-szwedzkiej w 1655 r. Fakt ten zabezpieczył granice Prus Książ-

ących od strony Podlasia i umożliwił elektorowi Fryderykowi Wilhelmowi opowiedzenie się po stronie Karola Gustawa. A i Radziwiłłowie ukrywając wszystkie swe skarby i kosztowności w zamku tykocińskim pod opieką załogi szwedzkiej mogli bardziej zdecydowanie i otwarcie występować przeciwko Polsce. Tak to Tykocin zaraz z początku wojny stał się ważnym ogniwem w łańcuchu twierdz i zamków obronnych stanowiących podstawę okupacji szwedzkiej w Polsce. Łańcuch ten ciągnął się od Poznania poprzez Łęczycę, Łowicz do Nowego Dworu, po czym Narwią — przez Pułtusk do Tykocina.

Jan Kazimierz, po powrocie do kraju, nakazuje nowemu wielkiemu hetmanowi litewskiemu Sapieżowi „elbrowanie” Tykocina.

Ale Szwedzi nie tylko wzmocnili i tak potężny zamek tykociński, nie tylko ufortyfikowali szereg budowli w miasteczku, lecz również przemienili okolicę Tykocina w ważny rejon obronny.

Klasztor i alumnat

Jedną z głównych ujemnych cech obronnych zamku było bliskie sąsiedztwo kościoła i klasztoru bernardynów. Klasztor ten wznosił się na kopie znajdującej się tuż na prawym brzegu rzeki Narwi w odległości 200 metrów od południowo-wschodniego bastionu zamku. Jego mury z jednej strony zasłaniały częściowo widok z zamku na rzekę, z drugiej znowu umożliwiały bliskie podejście przeciwnikowi do warowni. Toteż Zygmunt August proponował kilkakrotnie mnichom przeniesienie się na inne miejsce, gdzie obiecał im wzniesienie nowego klasztoru, oraz obdarować nowymi nadaniami ziemi i łąk. Stary zaś klasztor miał być zburzony. Bernardyni jednak wszystkie propozycje i prośby króla odrzucali mając widocznie nadzieję wytargowania znacznej większych korzyści i przywilejów. Za następców króla Zygmunta Augusta sprawa przeniesienia klasztoru upadła. Szwedzi zajmując zamek w Tykocinie, usunęli mnichów z klasztoru i stworzyli zeń dodatkowy silny punkt oporu, mający za zadanie strzeżenie i lepszą kontrolę Narwi oraz znajdującej się tu przeprawy wiodącej z zamku do miasta.

Nie dość na tym. Obsadzili również i ufortyfikowali znajdujący się po prawej stronie rzeki, tuż naprzeciw klasztoru budynek tzw. alumnatu, czyli szpitala dla żołnierzy-inwalidów. Potężne mury „alumnatu” i jego fortyfikację pozwalającą nie tylko strzec Narwi, ale i kontrolować miasteczko.

Konfederaci

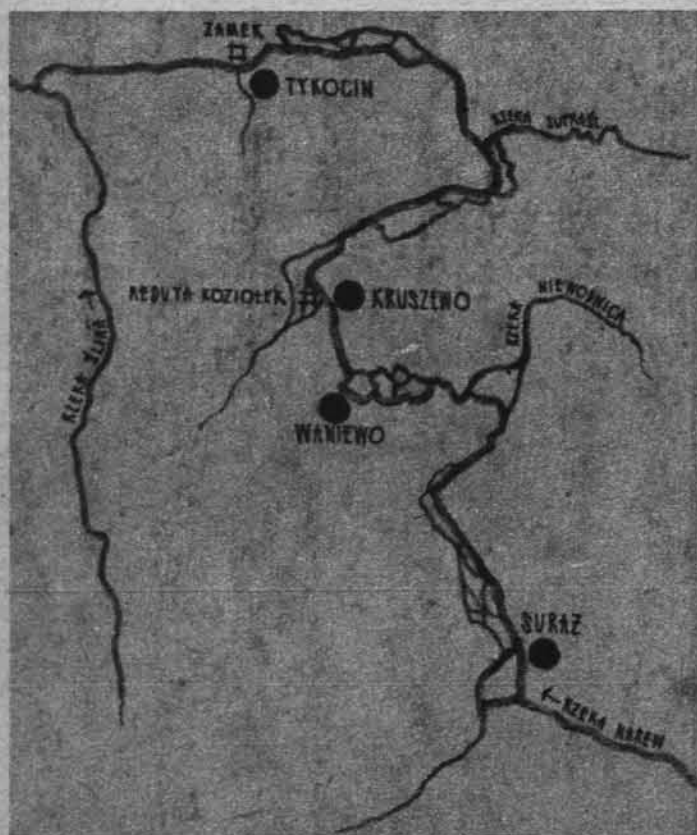
Prawdopodobnie początkowo Szwedzi poprzestali tylko na samym ufortyfikowaniu klasztoru i alumnatu, włączając je w forteczny system obronny. System ten jednak nie wystarczał do panowania nad sytuacją w całej okolicy, oraz do działań przeciwko koncentrującym się na południowo-wschodnim Podlasiu konfederatom. Część konfederackich wojsk pozostających pod rozkazami hetma-

na polnego litewskiego Wincentego Korwin-Gosiewskiego zgromadzonych w miasteczku Narwi, zagrażała nie tylko załodze wojsk szwedzkich stacjonujących w Tykocinie ale i zajmującym całą Białoruś wojskom cara Aleksego. Ponadto w lutym 1656 r. przybył na Podlasie na czele swych żołnierzy wojewoda witebski Paweł Sapieha. Ten zajął stanowiska w Bielsku. Spustoszyłszy dobra Radziwiłłów w Orli, Królowym Moście i Zabłudowie i przeciągnawszy na swoją stronę część stacjonujących tam oddziałów radziwiłłowskich, zagroził bezpośrednio Tykocinowi. Naturalnie dowódca załogi tykocińskiej wiedział o koncentracji konfederatów i poczynił odpowiednie przygotowania obronne. Komendant ów, generał Dytrych Rose, spodziewał się, iż transport wojsk konfederatów, w pochodzie na Tykocin, ruszy drogą wodną, wielkimi spławnymi statkami zwanymi kamiełami, służącymi do spławu zboża. Zresztą wszelkie ówczesne drogi gruntowe w Polsce były zaniedbane i podróż nimi, zwłaszcza jesienią i wiosną narażała na duże trudności. Prawie wszystkie strumienie, rzeczulki a często nawet i większe rzeki przebywać trzeba było w bród.

Wykorzystując fakt, że Narew skręca niespodziewanie w rejonie wsi Kruszewo w kierunku północno-wschodnim zataczając przed Tykocinem olbrzymi łuk o długości przeszło 40 km, generał Rose wznosił w tym punkcie, na lewym brzegu silną redutę ziemną, skierowaną w górę rzeki, skąd należało spodziewać się przybycia nieprzyjaciela. A nieprzyjacielem tym mogły być nie tylko oddziały konfederatów, ale również i wojska moskiewskie. Z redutą w Kruszewie utrzymywał garnizon tykociński stałą łączność. Reduta blokowała Narew w odległości przeszło 40 km od Tykocina i wykluczała możliwość zaskoczenia załogi. Zapewniała również Szwedom kontrolę nad całą okolicą zamkniętą nie tylko w łuku rzeki Narwi, ale i dalej, aż po Waniewo, które leżało w zasięgu pola obserwacji reduty.

Dwa oblężenia

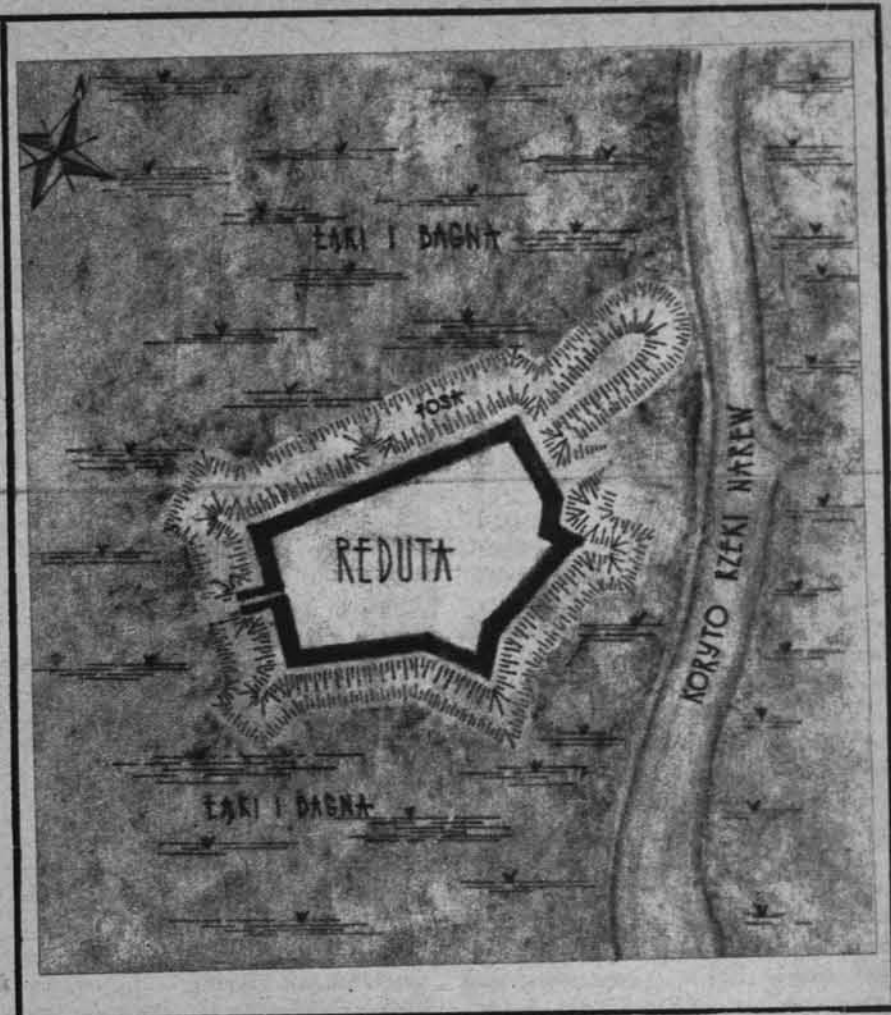
Brak bliższych danych odnośnie operacji wojsk szwedzkich i konfederatów w rejonie Tykocina uniemożliwia zbadanie roli jaką spełniła w czasie „potopu” kruszeńska reduta. Wiemy jednak, że w porze letniej Polacy nie zdołali nigdy dotrzeć do twierdzy. Tykocin znajdował się w posiadaniu Szwedów od sierpnia 1655 do końca stycznia 1657 r. W tym czasie oblężony był dwukrotnie przez wojska konfederatów, jednakże za każdym razem w zimie, kiedy mrozy ścinały lodem Narew i wszystkie jej rozlewiska. Zmuszało to załogę reduty do wycofania się do Tykocina. Po raz pierwszy obległ fortecę tykocińską w końcu lutego 1656 r. młody Krzysztof Sapieha. Wówczas to zdradca Bogusław Radziwiłł prosił króla szwedzkiego o pomoc. W odpowiedzi na to zwycięzca spod Gołębia, generał Robert Douglas zdołał rozproszyć konfederatów zadając im dotkliwą porażkę pod Janowem.



Plan odcinka rzeki Narwi od Suraza do ujścia rzeki Sławy.

Szkic obiektów w Tykocinie ufortyfikowanych przez Szwedów. Zamek — klasztor — alumnat.

Plan reduty szwedzkiej na tzw. Koziołku, koło wsi Kruszewo, pow. Białystok.



Po raz drugi oblężony został Tykocin przez wojska samego hetmana Pawła Sapiehy w zimie 1656 r. Sapieha wezwał wówczas Szwedów do poddania się, a gdy ci propozycję odrzucili nastąpił szturm w dniu 28 stycznia 1657 r. Jak opisuje jeden z dworzan w liście swoim wysłanym do księcia Bogusława Radziwiłła, wojska Sapiehy po zdobyciu alumnatu, a po nim klasztoru bernardyńców zaatakowały zamek. Narwa i bagna sforsowano po łodzi wyparłszy Szwedów z wałów i bastionów, konfederaci wdarli się do zamku. Tymczasem na skutek wybuchu prochu, podpalonego zdaje się umyślnie przez generała Rose, wyleciała w powietrze część fortecy wraz z broniącą się w niej jeszcze załogą szwedzką.

Barwnie, choć niezgodnie z prawdą, opisał to zdobywcę Henryk Sienkiewicz w „Potopie”.

Mimo wysadzenia części fortyfikacji zamek tykociński długo jeszcze stanowił silną twierdzę i ważne zajmował miejsce w systemie obronnym Rzeczypospolitej, skoro w traktacie zawartym w 1706 r. w Alt-Ronstadt z Augustem II Sasem król szwedzki Karol XII zastrzegł sobie, aby zamek ten wydany został komisarzom Stanisława Leszczyńskiego wraz ze wszystkimi znajdującymi się w nim działami i innym sprzętem wojennym. Wkrótce jednak po tym utracił swe znaczenie. Chylący się ku upadkowi zamek zaczęto rozbiierać z polecenia ówczesnego właściciela Białegostoku i Tykocina, hetmana Jana Klemensa Branickiego, biorąc zeń materiał do budowy kościoła farnego, klasztoru bernardyńców oraz innych budynków w Tykocinie. Reszty dokonała okoliczna ludność.

Dzisiaj po zamku pozostały tylko kupki gruzów porośnięte trawą i chw-

stami. Po murach, basztach i bramach widnieją tu dzisiaj tylko niewyraźne zarysy fundamentów, wskazując miejsce gdzie wznosiła się niegdyś twierdza tykocińska.

Skarb Radziwiłła?

Znacznie lepiej zachowały się wały i bastiony ziemne okalające niegdyś zamek oraz fosy włączone w system Narwi. Względnie najlepiej zachowały się (choć również mocno uszkodzone i zniwelowane) bastiony północno-wschodni i południowo-zachodni oraz łączące je wały. Tu w jednym z wałów w czasie pierwszej wojny światowej odkopali ponoć Niemcy wielką okutą skrzynię. Był to — jak wieść miejscowa głosi — ongiś ukryty skarb Radziwiłłów.

W nielepszym od zamku stanie znajdują się szczątki sąsiedniego klasztoru bernardyńców.

Najlepiej zachował się trzeci punkt oporu Szwedów w Tykocinie tj. budynek alumnatu. Wprawdzie ta masywna budowla, okalająca w kwadrat niewielki dziedziniec, jest opuszczona i zdewastowana, jednakże jako obiekt zabytkowy została zabezpieczona i znajduje się pod opieką wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Z całego natomiast w tym rejonie systemu obronnego załogi szwedzkiej zachowała się najlepiej reduta ziemna nieopodal wsi Kruszewo. Leży ona wśród bagnistych łąk, tuż na lewym brzegu starego koryta Narwi, niespełna sto metrów na północ od zniszczonego dziś mostu na szosie Białystok—Jeżewo. Reduta znajduje się w widłach Narwi i wpadającej do niej rzeczki Kurówki. Ma kształt foremnego pięcioboku o wymiarach ok. 130×130 m. Zaopatrzona jest w



Tak sobie wyobrazili szwedzkiego rajlara organizatorzy widowiska „Potop”, na Górze św. Anny w r. 1957. Fot. Z. Makal.

bastiony i otoczona do dziś jeszcze widoczną fosą. Frontem zwraca się w górę Narwi, a rozplanowana jest tak, że prawie nie nadaje się do użycia w dół rzeczki tj. przeciwko Tykocinowi. Od strony Narwi reduta posiadała specjalny wał długości ok. 30 metrów, który służył za punkt obserwacyjny i rozszerzył linię ognia załogi w kierunku południowo-wschodnim. Wewnątrz reduty znajduje się cały szereg niewielkich wgłębień i usypisk pozostałych zapewne po znajdujących się tu barakach i szałasach. Reduta ta należy obecnie do najlepiej zachowanych fortyfikacji szwedzkich z okresu „potopu” na ziemiach polskich.

Spór o Redutę

Okoliczna ludność nazywa ją „Szwedzkimi wałami”, „Szwedzką mogiłą”, a częściej „Koziołkiem” lub „Kozłem”. Na temat pochodzenia reduty powstało cały szereg różnych hipotez. H. Łopaciński określił ją w roku 1910 na łamach „Światowida” jako „grodzisko”. Podobnie wypowiedział się i znany archeolog Roman Jakimowicz na łamach „Wiadomości Archeologicznych” w 1923 r. mimo iż reduta kształtem swym i położeniem różni się od wszystkich grodzisk znajdujących się nie tylko na Pod-

lasiu ale i w całym kraju. R. Jakimowicz teorię swą oparł na informacji „miejscowego proboszcza”. Sporo znów historyków naszych, mimo że większość z nich nie była nigdy w Kruszewie i nie zna planu i położenia reduty, utrzymuje uparcie że zbudowali ją konfederaci, w celu szachowania załogi szwedzkiej stacjonującej w Tykocinie.

Miejscowa tradycja głosi jednak, że redutę wzniesli Szwedzi. Sympiaci wały, nosili oni ziemie ponoć „w czapkach”. Opowieść ta być może niewiele odbiega od prawdy, gdyż wielkie helmy szwedzkiej piechoty często służyły im za łopaty przy szpaniu szanów.

W miejscowych opowiadaniach i legendach wiele słyszy się o „fortelach” jakich używali nawzajem Szwedzi i Polacy w walkach i podjazdach, ale o reducie nie wspominają one ani słowa. Dopiero w pobliskiej starej wsi szlacheckiej Jaworówce natknąłem się na opowieść, wedle której wojska polskie posuwając się przeciwko Tykocinowi rzeką, wystawiły naprzód łodzie i tratwy załadowane manekinami przebranymi w zbroje i helmy. Gdy zdezorientowani Szwedzi zaczęli ostrzeliwać manekiny, Polacy zaszli im tyły i niespodziewanym napadem zdobyli zamek.

Wprawdzie w legendzie tej mówi się o Tykocinie, jednakże wiadomo, że Tykocin oblężono i zdobyto zimą, kiedy zamrznięta Narwa nie nadawała się do użycia „fortelu” z manekinami. Prawdopodobnie więc chodzi tu o jakiś ośrodek wypadek działań konfederatów przeciwko reducie w Kruszewie, podjęty jeszcze w porze letniej lub jesienią; w wyniku tego fortelu Szwedzi mogli istotnie dać wywieść się w pole i ulec przeciwnikom.

A' Dni 1699

NAJSTARSZA CHAŁUPA NA GÓRNYM ŚLĄSKU ?

W niektórych dzielnicach Polski licznie jeszcze zachowały się stare chałupy wiejskie. Jednak tylko pojedyncze obiekty sięgają odległej przeszłości. Przeważająca ilość domów pochodzi z drugiej połowy XIX wieku, a ich wartość naukowa tkwi przede wszystkim w trwałości tradycyjnych form budownictwa wiejskiego, powtarzanych w ciągu wieków. Osiemnastowieczne chałupy zaś stanowią już wielką rzadkość i pochodzące z tego czasu znane obiekty objęte są najczęściej troskliwą ochroną konserwatorską. I tak np. za najstarszą w województwie krakowskim uchodzi chałupa żywiecka (nr 77) w Milówce z r. 1738, na temat której istniał nawet swojego czasu spór, czy nie pochodzi ona z XVI wieku (sądzono tak na podstawie błędnego odczytania daty wyrytej na sosrębnie). Najstarsza zaś znana chałupa orawska (z Jabłonki, obecnie przeniesiona do skansenu w Zubrzycy Górnej) posiadała fragmenty z r. 1765.

Dlatego z niemalym zdumieniem odczytałem na drzwiach chałupy nr 31 w Starym Bieruniu-Kolonii (pow. Tychy) wyraźną datę 1699. Dom sam niepozorny: konstrukcji zrębowej, o układzie dwutraktowym z sienią pośrodku i wzniesioną z kamienia częścią gospodarczą pod wspólnym dachem pokrytym strzechą. Niestety do wnętrza nie dostałem się wobec nieobecności gospodarzy.

Oczywiście jest rzeczą prawdopodobną, że dom jest znacznie młodszy, reprezentuje bowiem typ często występujący w późniejszym okresie — jednakże stwierdzenie szczegółów ciesielskich jeszcze z końca wieku XVII stawia go w rzędzie obiektów bardzo interesujących, wymagających szybkiego zbadania. Dlatego również objęcie chałupy prawną ochroną jest rzeczą pilną, zanim dom zostanie przeznaczony na rozbiórkę, podobnie jak to się stało z najstarszą chyba chałupą w powiecie pszczyńskim, domem nr 37 w Świerczyńcu, pochodzącym z r. 1788.

MARIAN
KORNECKI

Opuszczona, najstarsza datowana chałupa w powiecie pszczyńskim, Świerczyńiec Nr 37, r. 1788. Fot. M. Kornecki.



Wśród nielicznych już zabytków znajdujących się w nowym kościele w Dubiecku zwraca uwagę ciekawy obraz, cieszący się znacznym kultem wśród miejscowej ludności. Nie wielkie to malowidło przedstawia Matkę Boską Bolesną z martwym Chrystusem na kolanach (tzw. pietà) i pochodzi zapewne z XVII wieku. W późniejszym okresie odnowione z dodaną sukienką metalową, nie jest zbyt interesujące jako dzieło sztuki. Z obrazem wiąże się jednak kilka ciekawostek, wyróżniających go od innych, anonimowych zabytków.

Gdy w roku 1753 wzniesiono poprzedni kościół w Dubiecku, obraz ten umieścić miano w głównym ołtarzu. Odnowienie i przyozdobienie sukienką nastąpiło z fundacji Anny ze Starzechowskich Krasickiej, kasztelanowej chełmskiej (matki biskupa Krasickiego. Herb jej — Nieczuja, wraz z inicjałami umieszczono na sukience. Odnowienie powierzone zostało malarzowi Tereńskiemu, który wykonywał właśnie inne obrazy

do kościoła. Malarz umieścił na odwrocie obrazu napis dotyczący tej pracy, jak też i opis swej choroby i cudownego uzdrowienia, tak charakterystyczny dla owej epoki:

„Ten obraz Matki Nayswietszey Bolesney jest od dawnego czasu w kościele Dubieckim... ze starością swoją zwątlony... teraz... dla ozdoby nowowubudowanego kościoła... jest Reformowany: na teyże tabulaturze nic nietykając Twarzy ani sukienki tylko wkoło gront dany w floresy wyzłocony przez Imć Pana Mikołaja Tereńskiego, Profesora kunsztu malarzkiego... Ażem ia, Mikołay Terinski robiąc obrazy do wszystkich ołtarzy kościoła Dubieckiego zapadłem był na oczy, żem nicniewidział i bólem w głowie wielki cierpiałem... iam się wtenczas ofiarował tey Matce Nayswietszey y zarazem folge w oczach miał: a... dnia trzeciego po moim kalectwie, po dwóch Mszach SS... podczas exhorty... Ból głowy oczywiście ustąpił: było dzień piątkowy, dnia 23 marca Roku tegoż 1753“.

(MK)

O DUBIECKIM OBRAZIE



KRAJOZNAWSTWO A TURYSTYKA

Powróćmy znów do sprawy wzajemnego stosunku krajoznawstwa i turystyki. Jak już wyżej wspomniałem, bardziej mi odpowiada slogan: nie ma krajoznawstwa bez turystyki, niżeli odwrotnie. Tak! Wycieczki krajoznawcze są przecież jednocześnie wycieczkami turystycznymi i mogą dla swoich celów posługiwać się wszelkimi środkami lokomocji turystycznej. Mogą wyruszać pieszo, rowerami, motorami, pociągami, czy kajakiem. I w takich wypadkach turystyka współdziała z krajoznawstwem, staje się narzędziem krajoznawstwa.

Ale czy turystyka bywa zawsze podejmowana tylko w celach krajoznawczych? Spróbujmy i w tej dziedzinie wprowadzić jakiś porządek i wyróżnijmy cele turystyki. Na pierwsze miejsce wysuwa się zatem omówiona wyżej:

a) turystyka krajoznawcza, ale poza nią turystyka może mieć jeszcze zupełnie inne założenia, równie słuszne i wynikające z potrzeb, a więc:

b) turystyka pionierska — odkrywanie nowych, nieznanych dotychczas szlaków,

c) turystyka obozowa, biwakowanie. Przodują tu harcerze. Jest to rodzaj przedszkola turystycznego, które z czasem prowadzi do właściwej turystyki.

d) turystyka w specjalnych celach. A więc np.: wyprawa turystyczna z kamerą fotograficzną, lub filmową. Bezkrwawe łowy na zwierzęta i ptaki są, moim zdaniem, całkiem wystarczającym powodem dla podjęcia wyprawy turystycznej pieszej, motorowej, kajakowej, czy jakiegokolwiek innej.

Wielu ludzi wyrusza również na wyprawę turystyczną dla zaspokojenia swojego instynktu łowieckiego. Zaopatrzeni w sprzęt turystyczny i łowiecki wędrują oni po lasach, jeziorach i rzekach, polując, lub łowiąc ryby. Uważam to również za wystarczający pretekst dla uprawiania turystyki i nie widzę powodu do ich potępienia.

e) turystyka dla zdobycia punktów na odznakę turystyczną. Niestety — spotyka się i takich turystów. Turystyka kwalifikowana pomyślana początkowo, jako sposób propagandy turystyki, dla wciągnięcia do niej nowych ludzi, wyrodziła się i stała się celem sama dla siebie.

f) turystyka — włóczęga. Najlepsza forma wypoczynku turystycznego. Niestety nie raz pogardzana „beztroszcowa” włóczęga. Indywidualna, lub grupowa. Marsz na spotkanie przygody. Nie w celu powiększenia swoich wiadomości, a dla odnowienia zagubionego w chaosie współczesnego życia związku z nieśmiertelną przyrodą. Zagubienie się w bezkresie nieba, wody, lasu, czy pól. Powrót do trybu życia przodków. Poleganie na własnych siłach w każdym wypadku. Szukanie ciepła u ogniska i czytanie gwiazdowego nieba w pogodne noce. Szukanie szlaku na bezdrożu. Ucieczka przed burzą, albo... beztroskie próżnowanie nad wodą w promieniach palącego słońca na bezludziu. Wytchnienie od cywilizacji. Regeneracja sił vitalnych.

Wylizując te różne cele i przyczyny uprawiania turystyki można by jeszcze wspomnieć o turystyce wypoczynkowej. Można by omówić turystykę zespołową i indywidualną. Mo-

DOKOŃCZENIE NA STR. 12



Dyllizans z XIX wieku w Sudetach. Obraz olejny znajdujący się w Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu.



SZCZEBRZESZYN • SZCZEBRZESZYN • SZCZEBRZESZYN

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

kryminacji. Walka z innowierstwem przybiera coraz większe rozmiary. Pewna część ludności nie chce wyrzec się swej wiary i powrócić do kościoła katolickiego. Do tych zostaje skierowany nakaz opuszczenia miasta. Ci, którzy przybyli po śmierci Jana Zamojskiego, mają je opuścić natychmiast. Inni w terminie kilkuletnim.

Pod panowaniem Zamojskich przeżywa Szczeborzyszyn z podanych na początku przyczyn kryzys swojego rozwoju i przyczyna się w typowo prowincjonalne zapomniane miasteczko.

Od r. 1807 Szczeborzyszyn znajduje się w granicach W. Ks. Warszawskiego. Jedną z najważniejszych dat tego okresu jest założenie w mieście w r. 1811 przez Stanisława Zamojskiego szkoły średniej zastępującej szkołę zamojską, której gmachy zostały w roku 1807 zajęte przez wojska ks. Józefa Poniatowskiego. Silny wpływ musiała wywierać szkoła na życie miasta i przeciwstawiać się rusyfikatorskim zapędom na tym terenie, skoro już w r. 1852 została przez Rosjan zamknięta. Akcja rusyfikacyjna przeprowadzona pod gorliwym przewodnictwem ówczesnego burmistrza Wiciejewskiego pozostawiła po sobie kilka dokumentów. Ostał się z tych czasów raport Wiciejewskiego kierowany do naczelnika powiatu. Burmistrz donosił o incydencie, jaki wy-

niknął z zebrania się „mnóstwa hołoty miejskiej” i urzędzenia „kocie” muryki z największymi obelgami” pod jego domem.

Powstanie styczniowe zastało mieszkańców miasteczka w pełnej gotowości: około stu ochotników łączy się w lasach z działającą tam partią Grunowskiego.

Kiedy wydany został „ukaz” w r. 1877 poddający Królestwo pod władzę petersburskiego kolegium duchownego rzymsko-katolickiego, dekanat szczeborzyszynski kościoła uńskiego zniesiono, a cerkiew „Usipienia” zamieniono na prawosławną. Liczba prawosławnych zwiększała się szybko tak z racji stosowanych przy „nawracaniu” metod jak i opieki rządu nad „nawróconymi”.

Z tamtych starć, zmagani i problemów nawet ślad nie pozostał. Ruiny świątyni są pomnikiem spraw, o których nikt nie pamięta. Żaden z młodych nie wie jak wyglądał dach bożnicy spalony w początkach okupacji. Żydów wymordowali Niemcy w r. 1942. Trzy tysiące ludzi w trzech zapadniętych mogiłach.

Szczeborzyszyn wyszedł z okresu historycznych zmagani i kataklizmów. W polu dębów na kierkucie wrastają kamienne nagrobki. Nad Wleprzem dogorywa stary młyn z ogromnym drewnianym kołem.

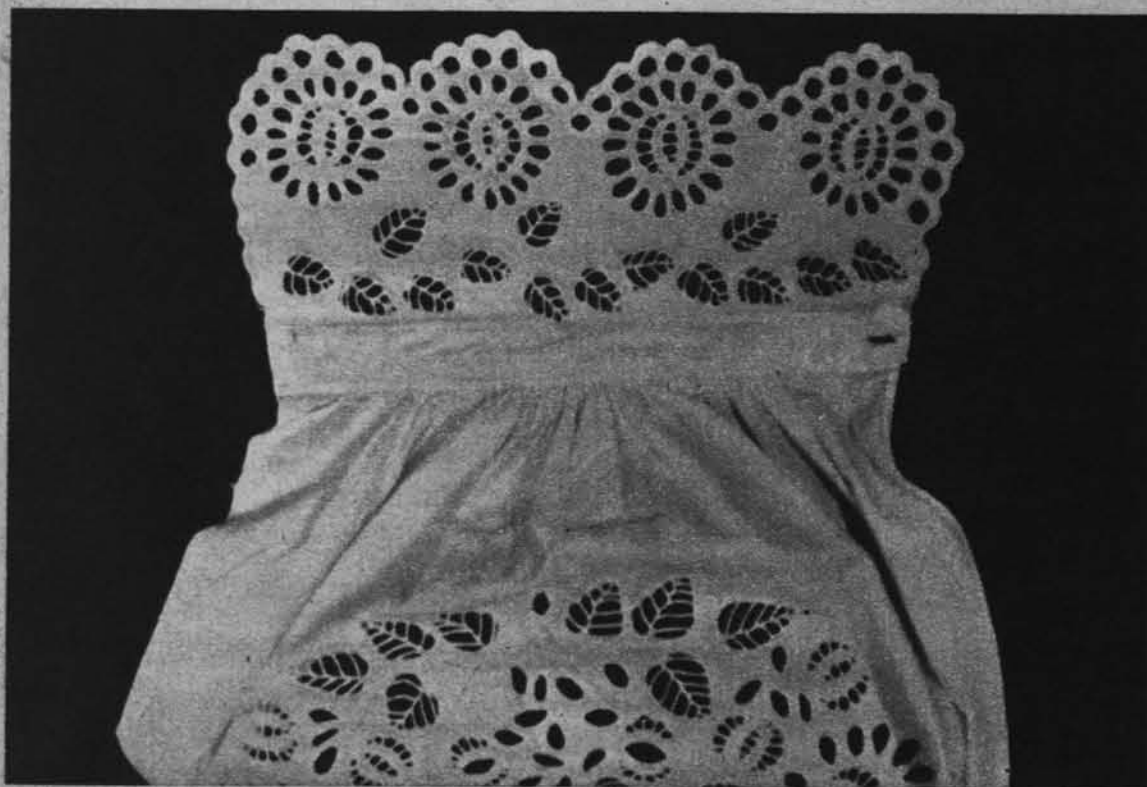
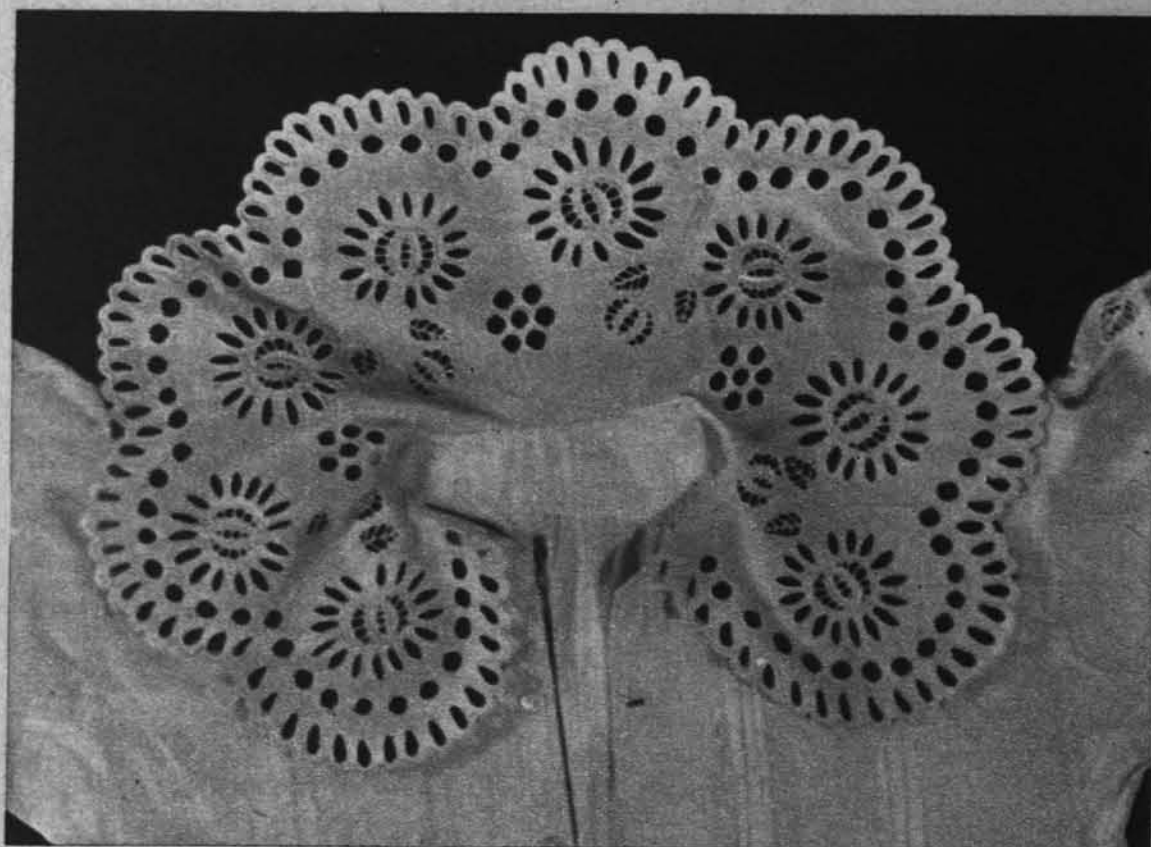
JERZY KOŁATAJ

Materiały historyczne do artykułu pochodzą z prywatnych zbiorów dra Zygmunta Klukowskiego, mieszkańca Szczeborzyszyna, bibliofila i kronikarza Ziemi Zamojskiej.

Fot. St. Butrym.

Nagrobek na cmentarzu żydowskim wrośnięty w pień starego dębu.





Tajemniczo przedstawia się zdobienie płóciennej odzieży górąlek podhalańskich w pierwszej połowie XIX w. Z bardzo nielicznych wzmianek w literaturze i równie skąpych okazów przechowywanych w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem wiemy, że płócienne koszule i „związki” (chustki na głowę w kształcie długiego ręcznika) haftowane były ściąganiem łańcuszkowym w ciekawe, archaiczne i niczym dzisiejszych haftów nie przypominające spirale.

W połowie XIX w. Podhale wchodzi w orbitę „mody europejskiej” i wszystkie eleganckie wiejskie starają się za wszelką cenę zdobyć kosztowne, przepięknie haftowane w kwiaty ściąganiem atłasowym, tiulowe i batystowe chusty na głowę, które zgodnie z nową modą wiążą w krakowski czepiec. Przywożą je z odległych jar-marków i kupują od wędrownych handlarzy. Ale importowany luksusowy towar jest kosztowny i nie każdego nań stać. Tylko „hrube” gądziny mogą sobie pozwolić na taki zbytek. Biedniejsze czują się upośledzone — ale od czegoś pomysłowość i zaradność kobieca. Postanawiają odrobić podpatrzony motyw i ścieg. Zaczynają więc powstawać naśladownictwa importowanych haftów, które wnet zrywają z niewolniczym kopiowaniem pierwowzorów. Coraz więcej kobiet uczy się sztuki hafciarskiej, coraz swobodniej hafciarki podhalańskie zapożyczają skąd tylko mogą, przetwarzają i ciekawie komponują nowe wzory.

Najbardziej utalentowane hafciarki, takie które potrafiły zyskać sobie sławę na całą okolicę, starają się wyszukać czy wymyślić nowe, oryginalne motywy. Mniej zdolne naśladowują je, dzięki czemu nowomodne pomysły szybko obiegają cały region. Już w latach około 1880 możemy powiedzieć o wyrobionym stylu nowego białego haftu podhalańskiego.

Ciągle jednak haft wymagał wielkiego wysiłku i bardzo wielu godzin żmudnej pracy. Choć już wykonywało się go na miejscu na wsi, wciąż jeszcze był drogi. Zdobiło się więc tylko bieliznę odświętną, zwłaszcza wyprawy bogatych córek górzow-skich.

W miarę postępującego uprzemysłowienia i nowych możliwości zarobkowych coraz droższy stawał się czas i coraz mniej kobiet chciało ślęczeć tygodniami nad jedną koszulą, chustką czy halką. Haft cofał się na rzecz znacznie łatwiejszych i tańszych koronek szydełkowych, które na przełomie XIX i XX w. umiała robić każda kobieta. I prawdopodobnie stałby się techniką zdobniczą zupełnie zapomnianą, gdyby jedna z pomyslowych mieszkanki Dzianisza nie nauczyła się haftu maszynowego. Stało się to gdzieś w latach 1925–1930. Od niej zaczęły uczyć się inne i w ciągu lat kilkunastu umiejętność haftowania na maszynie stała się równie powszechna jak znajomość innych zajęć kobiecych. Dziś do pełnego wykształcenia dziewczyny takiego Dzianisza, Wito-wa, Cichego czy Ratułowa należy, obok zajęć gospodarskich, znajomość haftu maszynowego. Do haftowania

ziemia MATERIAŁ PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

Współczesny haft podhalański wykonany na maszynie w roku 1954.

użyć można każdą prawie maszynę do szycia, praca jest łatwa, wymaga tylko wprawy; szybko i bez wysiłku można pokrywać duże powierzchnie płócien najwyszukańszymi haftami.

Zastosowanie maszyny do szycia uratowało od zapomnienia biały haft, co więcej, spowodowało jego odrodzenie, jego wprost nie spotykany rozwój. Dziś jeśli wstąpimy do

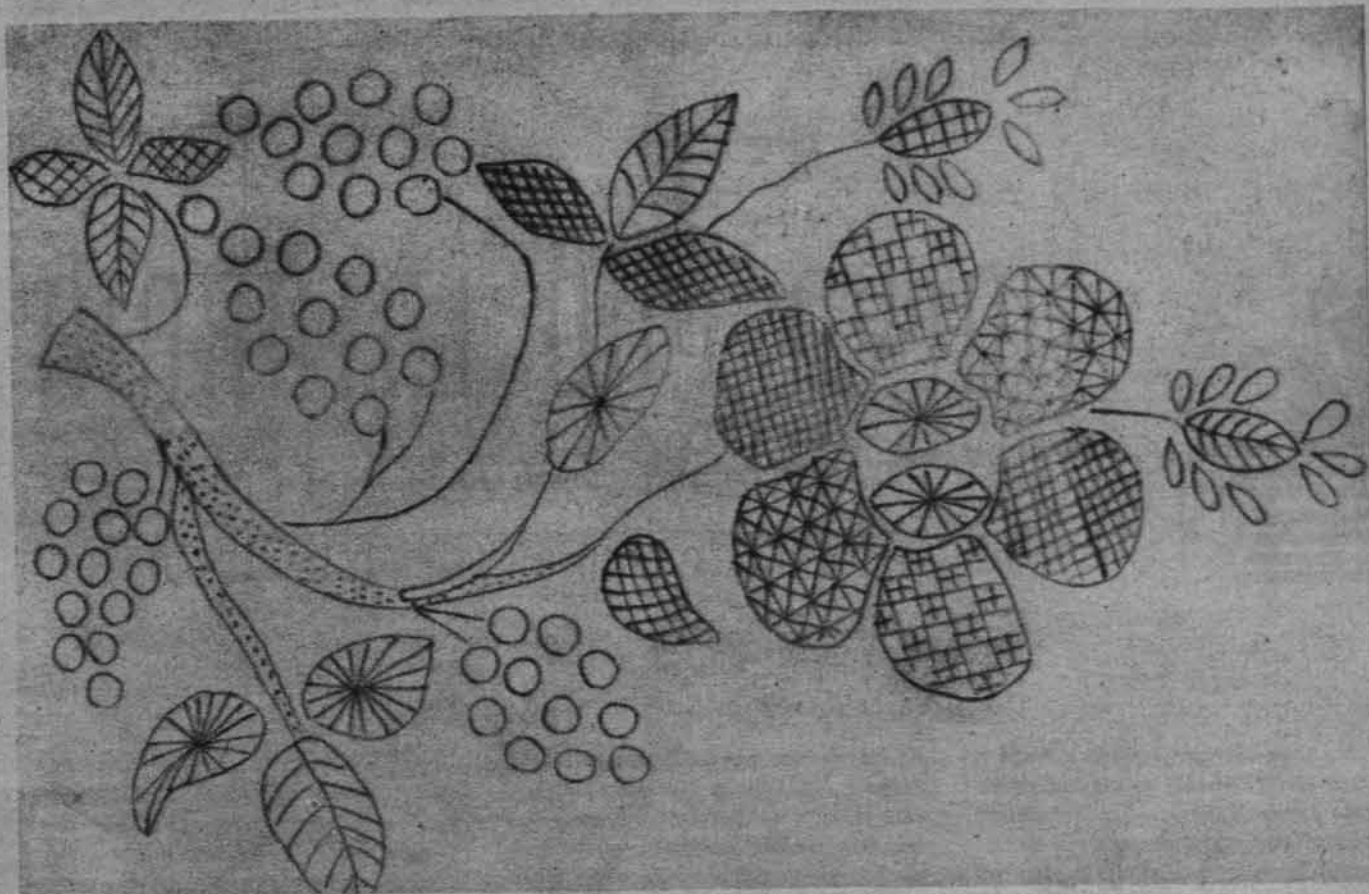
HAFT I HAFCIARKI PODHALAŃSKIE

„białej izby“ w którejś z wsi na północnych stokach Gubałówki — zostaniemy olśnieni bogactwem haftów. Zobaczymy łóżka nakryte płóciennymi białymi kapami zahaftowanymi niemal na całej powierzchni, piramidy poduszek i jaśków bogato zdobionych haftem, stół w rogu izby nakryty będzie zahaftowanym obrusem, okna zdobić będą haftowane firanki. Na kołkach wbitych na całą długość ściany i na żerdce wiszącej u sufitu, wisieć będzie co najmniej kilkanaście, albo i kilkadziesiąt nawet odświętnych koszul, o wielkich ażurowych haftowanych kołnierzach i bogaciej jeszcze zdobionych rękawach. Białe krochmalone halki pokryte są haftami od kolan po pas. Haftuje się poduszki i kapki dla niemowląt, serwetki, nawet chustki do nosa.

Nie całe Podhale równie biegle opanowało ten kunszt. Dlatego też na targu w Zakopanem, a zwłaszcza na jarmarkach nowotarskich spotkać można rzędy dziewcząt sprzedających wyhaftowane przez siebie części bielizny kobiecej i pościelowej. Kupują od nich góralki z Podhala wschodniego, gdzie kunszt hafciarzki jakoś mniej znalazł zwolenników.

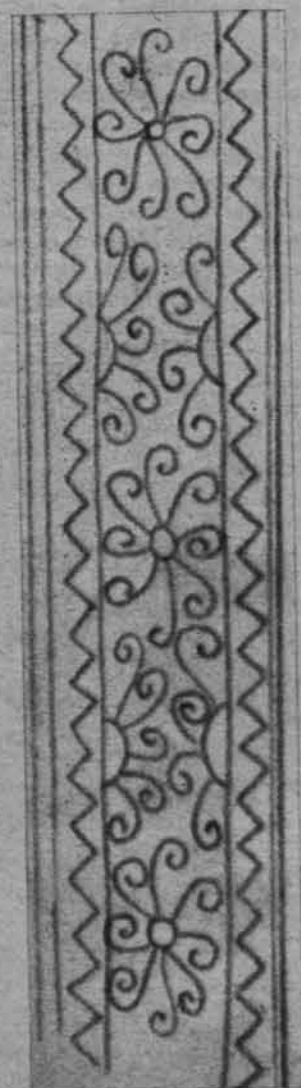
Odkąd w hafciarstwie zastosowano maszynę i odkąd haft stał się tak popularny, zaczęły przyjmować się coraz nowe motywy. Kiedyś, w samych początkach, gdy jeszcze naśladowano kupne chusty czepcowe, przeważał ornament roślinny, lecz odkąd wytworzył się styl własny haftu podhalańskiego, zdecydowanie zapanowały motywy abstrakcyjne z palmietą na czele. Teraz, w hafcie maszynowym, gwałtownie wraca ornamentyka roślinna, odmienna jednak od tamtej z połowy XIX w. Obecnie mamy duże, często asymetryczne kompozycje kwiatowe o wielkich płatkach i liściach wypełnionych ażurami. Hafciarki pełną dłonią czerpią pomysły z miejskich wzorników, pseudoludowych bluzek sprzedawanych w pseudoludowych kramach, z jarmarcznych makatek malowanych w kosze kwiatów itp. Nie zawsze szczęśliwe rezultaty przynoszą te odważne eksperymenty. Najżałośniej rzecz się ma z kompozycją, która gubi się i płacze w przeładunku bogactwem motywów.

Jaka będzie przyszłość haftu podhalańskiego? Coraz widoczniej zrywa on z tradycją i coraz częściej czerpie motywy z miasta. Czy wobec dzisiejszego tempa przemian kulturowych będzie dość czasu, by nowe motywy wrosły w kulturę ludową Podhala?



U góry: Haft maszynowy współczesny. Kołnier koszuli noszonej pod gorset. Nowe Bystre r. 1952.

Po lewej u dołu: Raftuch z Zakopanego, w. XIX. Haft biały importowany na Podhale. Muzeum Tatrzańskie. Poniżej: dziewczyna we współczesnej haftowanej bieliźnie 1952 r. wieś Ciche.



Kobieta ranną w bieliźnie: „raftuch”, koszula, gorset noszony pod bluzką — haft współczesny 1952. Ciche, pow. Nowy Targ. Fot. W. Tomaszewicz.

„Związki” — haftowane ściąganiem łańcuszkowym jedwabnymi niciami ktemowymi na domowym płótnie lniowym. Przykłady najstarszych znanych haftów podhalańskich z pierwszej połowy XIX wieku. Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskie.



ina by pewnie znaleźć jeszcze szeregi powodów, dla których ludzie wyruszają na wycieczki, ale to już nie jest ważne dla naszego tematu. Ważny jest ogólny wniosek, że krajoznawstwo nie jest jedynym celem i przyczyną uprawiania turystyki.

W każdej takiej wyprawie znajdzie się miejsce na krajoznawstwo. Zgoda — ale pod warunkiem, że przyjdzie na to ochota. Nie róbmy z niego obowiązku.

Czas uogólnić dotychczasowe wywody.

Omówienie obydwa zagadnień — krajoznawstwa i turystyki wskazało nam ich rozbieżności i zbliżności. Należy stwierdzić, że krajoznawstwo i turystyka są to dwa odrębne problemy, mające jednak wiele wspólnych elementów. Czy należy je utożsamiać? Stanowczo nie! Argumenty, mające wykazać potrzebę ich połączenia, są raczej natury teoretycznej i wyrażają pragnienia ludzi

na pewno powodowanych szlachetnymi intencjami, ale praktycznego rozwiązania mieć nie mogą. Czy nie lepiej zachować wzajemne przyjacielskie stosunki i wspierać się nawzajem? Bowiem właściwie różni się tylko tym, że jedni z nas bardziej skłaniają się do krajoznawstwa, drudzy do turystyki — każdy krajoznawca posługuje się turystyką, a każdy turysta jest w mniejszym lub większym stopniu krajoznawcą.



MŁYN POD LATARNIĄ TWARDOWSKIEGO

ziemia

MATERIAŁ PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

Wśród materiałów archiwalnych, dotyczących różnych miejscowości — często natrafiamy na wzmianki o przywilejach nadawanych niegdyś rzemieślnikom, jak też na dokumenty, dotyczące losów warsztatów przemysłowych w przeszłości. Najczęściej jednak nikt nawet nie usiłuje powiązać tego rodzaju przekazów z istniejącymi jeszcze obiektami i wzbogacić w ten sposób pozbawione historycznej przeszłości atrakcyjne zabytki kultury materialnej. Udaną próbą tego rodzaju pracy jest zamieszczony poniżej artykuł, omawiający odnalezione dawne dokumenty.

„My Aleksander II Cesarz Wszech Rosji, Król Polski etc. etc. etc. wiadomo czynimy, iż przed urzędnikiem Naszym Rejentem Kancelaryi w Olkuszu, zeznanym został akt osnowy następującej:

Działo się we Dworze dóbr i wsi Korzkwi, w Powiecie Olkuskim, Gubernii Kieleckiej iurystykcy Sądu Pokoju Olkuskiego dnia 13 (31) XII 1868 roku...”

Tymi słowy zaczyna się dokument, będący dowodem sprzedaży Młyna pod Latarnią Twardowskiego w Dolinie Prądnika. Dokładna data budowy młyna nie jest znana, gdyż napisów w nim samym nie ma. Jednak fakt, że 25 czerwca 1847 roku Józef Seldmayer nabył go od hr. Kazimierza Wodzickiego wraz z siedmioma innymi wchodzącymi w skład dóbr korzkiewskich, wskazuje, że młyn już wtedy musiał istnieć.

W roku 1851 pomierzono — jak podaje cytowany dokument — „osa-

dę młynarską we wsi Prądnik Korzkiewski do Dworu Korzkwi należącą... pod Nr 11 położoną wraz z należącym do niej młynem wodnym o dwóch kamieniach, na rzece Prądnik urządzonym, z przyległymi zabudowaniami, ze stodołą i chlewem tudzież gruntem do tej osady młynarskiej przydzielonym...”

5 lutego 1865 roku Seldmayer uzyskał „decyzję Komisarza I Rewiru Olkuskiego Komitetu Spraw Włościańskich N 120”, że osady młynarskie w Prądniku Korzkiewskim, Korzkwi i Januszowicach są jego... wyłączną własnością, gdyż nie podpadają bynajmniej pod Najwyższy Ukaz o uwłaszczeniu włościan”.

Dysponując owym dokumentem Seldmayer zdecydował się na wieczyste wydzierżawienie „pewnej ilości osad młynarskich...” „Ponieważ utrzymanie w stanie dobrym i do użycia zdatnym tyłu osad młynarskich, werków młyny stanowiących,

budowli wodnych przy każdym będących, całości brzegów rzeki, z której woda siłą do ich działania dostarcza, ogółu dochodów nie powiększa, ale przeciwnie pomniejsza”.

I oto w roku 1868 w kancelarii rejenta Przesmyckiego w Olkuszu staje Józef Seldmayer właściciel dóbr ziemskich korzkiewskich, tudzież Józef Knapik młynarz i jego żona Rozalia ze Stolarskich, w asystencji i za upoważnieniem męża działająca. Obie strony spisują kontrakt dotyczący sprzedaży młyna.

Oryginał tego dokumentu do dziś pieczołowicie przechowywanego przez obecnego starego młynarza Knapika, wnuka tamtych, w 11 paragrafach reguluje sprawy związane z młynem.

A więc, że 1. 1. 1869 „całość osady wraz z użyciem wody i przynależnymi budynkami nad i pod ziemią w stanie istniejącym właściciele nowi utrzymują je i brzegi... tak aby

innym osadom nie przynosiły szkody”. (§ 1)

Według § 2 „Nie wolno zmieniać trakcji ani typu młyna żadnej stronie bez zgody drugiej strony. Młynarzowi wolno produkować tylko mąkę, kaszę ... wybić oleje”. Obowiązuje to też innych osadników młynarzy, ale nie Sedlmayera, który może „mieć folusz, garbarnię, piarnię itp., ale bez zmiany kierunku, siły i wysokości wody”.

Następne paragrafy (3—8) regulują cenę młyna (1500 rubli), czynsz (12 rubli), opłaty gminne, gruntowe, patentowe, ubezpieczenia, szarwariki... i wszystkie ciężary, dalej prawo do używania dróg, obowiązek wykonania planu na koszt obu stron z „technikiem”, który „ma określić drogi, wysokość wody i brzegów”.

Wreszcie następują zobowiązania dotrzymywania umowy, sprawy własnościowe (§ 9—10) oraz § 11 potwier-

Ze wzgórza Bani rozciąga się szeroki widok na dolinę Prądnika. Na pierwszym planie osada młynarska i Młyn pod Latarnią Twardowskiego (Olejażnia, Młyn Knapika), przy nim sad.

Obok przewijają się zakola Prądnika znaczone zielonym wałem olch i wierzb. Za nimi biegnie droga z Krakowa do Ojcowa u stóp grupy

Cygańskich Skał. Dwie największe to Młynarskie ściany. Na lewo od nich samotna iglica to legendarna Latarnia Twardowskiego. Po prawej, poprzez

Cygański Dół wybiega na wzgórze Bronówki boczna droga wśród pól, ku Białemu Kościółowi. Wszystko tonie w bujnej zieleni zagajników i sadów.

dzenia świadków i podpisy z tym, że „...Małżonkowie nie podpisali bo nie umieją”.

Na koniec formuła:

„Zalecamy i rozkazujemy wszystkim Komornikom Sądu od którychby się tego domagano, aby akt ten wyegzekwowali, Prokuratorom Królewskim, aby dopilnowali, Komen- dantom i Urzędnikom Siły Zbrojnej, aby dodali pomocy wojskowej, gdy o takową prawnie wezwani będą”. Tu następuje podpis rejenta i pieczęć woskowa w papierze zawieszona na pleciny brązowo-żółtym sznureczku spinającym 10 stron dokumentu.

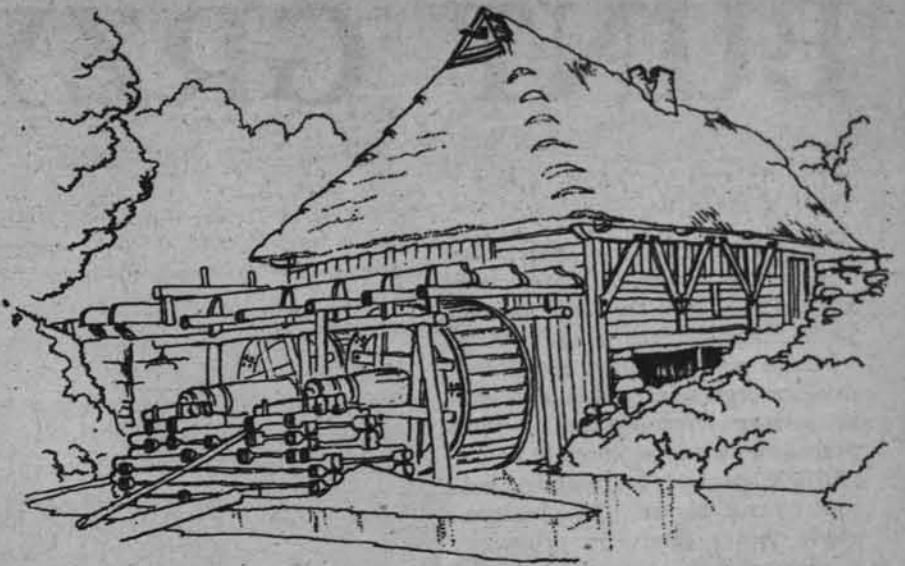
Co działo się z młynem później, dokładnie nie wiadomo. W każdym razie działał bez zarzutu, o czym świadczy tradycja, że wyrabiano prócz mąki i kaszy także olej. Stąd też do dziś utrzymuje się nazwa młyna: „olejarnia”. Według relacji młynarza około roku 1900 pożar zniszczył dach, a nawet częściowo konstrukcję ścian mieszkania. Młyn jednak szybko naprawiono i pracował dalej. Kres jego działalności położyła dopiero ostatnia wojna.

Wnętrze dzieli na dwie części wielki komin: mamy tu partię mieszkalną — mniejszą, złożoną z dwóch izdebek i młynicę w postaci dużej sali wspartej na drewnianych słupach. Samo mieszkanie prosto urządzone, ale nie brak w nim starych sprzętów, jest i piękna skrzynia malowana w drobniutkie kwiatki „olkuskiego typu”. W młynicy też odnaleźć można urządzenia częściowo stare.

Ogromne okute wały z dębowego drewna wsparte na zewnątrz na wysokich izbicach, kończą się tu palecznymi kołami. Ich bukowe palce poruszały poprzez wrzeciona i paprzyce górne kamienie żaren.

Korieczne (nasiebieżne) koła wodne nie stoją w jednej linii, lecz są przesunięte względem siebie. Jedno bliżej, drugie dalej od ściany — tak, by woda zebrana w skrzyni łotoku mogła dwoma równoległymi rynwiami poruszać dowolnie jedno, drugie, lub oba koła naraz. Jeżeli koło nie miało pracować — ramę łotoku zamknięto i woda zamiast do rynwi, upustem wprost ze skrzyni spadała kaskadą na bok.

Młyn pod Latarnią Twardowskie-



Trzeba przedrzeć się przez gęstą olszyn i wiklin, aby z bliska zobaczyć wodne urządzenia młyną. Na kunsztownie ułożonych z belek, łączonych drewnianymi kołkami izbicach wsparte są dębowe wały dwóch ogromnych kół wodnych. Nad nimi dwie rynwie łotoku zamknięte sterzącą ku górze ramą. Za nią skrzynia i skierowany w bok upust wodny.

TEKST I RYSUNKI BOGDANOWSKI JANUSZ

stosowaną do miejscowych warunków wodnych. Otóż koła te mają promień równy ich szerokości. W omawianym młynie szerokość koła wynosi 145 cm, zaś średnica 290 cm. Te same proporcje zachowane są w innych prądnickich młynach.

Młyn tu opisany, choć nie jest jeszcze ostatnim w ogóle, to przecież jest ostatnim nie zepsutym przeróbkami, dobrze zachowanym we wspólnym naturalnym otoczeniu. Co więcej jest to najstarszy, najmniej stuletni młyn prądnicki. Dlatego też zarówno ze względu na jego wartość zabytkową, jak krajobrazową i historyczną powinien być za wszelką cenę zachowany i uznany za zabytek, zaś jego otoczenie — skały, młynówki i gróble — powinny znaleźć się pod ochroną krajobrazową. Pora więc, by zajął się nim Wojewódzki Konserwator Zabytków, Park Narodowy w Ojcowie i Konserwator Przyrody.

Wraz z pewnymi niezbędnymi re-peracjami jest to zadanie pilne, gdyż w obecnym stanie budowla jest w miejscowym pojęciu rudą. Teraz jeszcze z pietyzmem opiekuje się nią stary młynarz ale kto wie, jak odniosą się do zabytku jego następcy. A trzeba pamiętać, że jeżeli i ten młyn zostanie zniszczony, to wraz z nim po świetnej karcie prądnickiego przemysłu, sięgającego swym początkiem wczesnego średniowiecza pozostaną tylko szczątki — ani jednej całej budowli.

Na koniec wyjaśnienie. Dlaczego Młyn pod latarnią Twardowskiego? Otóż, jak chce legenda, Twardowski nocując w drodze do Olkusa we młynie, kazał diabłu postawić latarnię na kamieniu i tak ponoć została ona do dziś. Ta diabelska latarnia to samotny blok skalny, sterczący z gęstwy drzew tuż obok Młynarskiej Ściany. Podstawę jego stanowi — rzecz osobliwa — niewielki kamień.

Młyn pod Latarnią Twardowskiego w Prądniku Korzkiewskim liczy sobie już ponad 100 lat. Mimo to trzyma się jeszcze dobrze. Na zdjęciu jego wschodnia strona.



Sytuacja. Grupa Cygańskich skał (1) od których ścieżką (2) poprzez kładkę na Prądniku (3) można starym sadem dojść do młyna (4). Obok olszyna (6). Za nim młynówka (5), opustoszałe stawy rybne z wyspą (7) i stara młynska droga dojazdowa (8). Jeszcze dalej (9) droga pod Banią, z której rysowana była panorama, Maszyckim Dołem wyprowadza wśród zagajników na wierzchołek do Maszyc.

Dziś do „młyna Knapika”, gdyż tak go tu zwykle nazywają, trafić niełatwo.

Od strony biegnącej drogą u stóp skał *szlaku turystycznego nie dostrzeże się go, gdyż jak mówią słowa krakowiaka „wedle tego młyna zielona olszyna”, zasłaniająca wszystko ciżbą drzew.

Nawet patrząc z brzegu doliny, widać tylko jego wielki słomiany dach ukryty w zieleni sadów i olch. Wszystko to na tle białych Cygańskich Skał wyrastających z gęstwy leszczyn buków i lip gładkimi Młynarskimi Ścianami i poszarpanymi blokami smukłych wapiennych iglic.

Sam budynek spory, prostokątny, nakrywa strzechą brogowego dachu. Ściany zbudowane w słup, gęsto mie-

go zaliczyć można do bardzo rzadkiego dziś typu drewnianego młyna, który możnaby określić mianem „krakowskiego”. Cechami charakterystycznymi tego rodzaju byłyby: słupowe, mieczowane ściany wypełnione poziomo i pionowo ułożonymi brusami, dwie (lub 4 w kwadrat) izby mieszkalne skupione przy kominie, dalej słomiany, brogowy dach.

Młyny takie pod Krakowem już niemal całkowicie zanikły, a dawniej było ich dużo. Mówią o tym zachowane resztki, stare plany i ryciny, takie jak na przykład drzeworyt modlnickiego „kaszaka” w „Krakowskim” Kolberga.

Jednak młyny prądnickie zdają się tworzyć w porównaniu z innymi krakowskimi osobną grupę, odznaczającą się szczególną budową kół, do-

BUNT GRZYBOWSKIEGO

W galerii portretów umieszczonej w sali opackiej klasztoru w Łądzie znajduje się także portret Jana Zapolskiego, trzydziestego szóstego z kolei opata łądzkiego; drugim jego wizerunkiem — może jeszcze wierniejszym — jest przechowywany w kościele w Zagórowie portret trumienny, malowany na blasze. Na obu spogląda twarz dumnego człowieka o niezwykle wyrazie. Kim był ten człowiek?

Jan Zapolski to nie tylko opat łądzki, ale także kanonik krakowski, komisarz i wikariusz generalny zakonu cystersów w Polsce. Ponadto spełnił on funkcję sekretarza królewskiego i na stanowisku tym wstawił się namiętną walką o samodzielność zgromadzeń zakonnych, o nienarzacanie opatów mianowanych z woli królewskiej. W roku 1667 udało mu się uzyskać od Jana Kazimierza podpis na przywileju wolnej elekcji opatów w klasztorach cysterskich, a w dwa lata później potwierdzenie tegoż przywileju przez króla Korybuta Wiśniowieckiego; jego przeciwnicy z kół dworskich oskarżali go, że oba podpisy uzyskał przez podsunięcie monarchom gotowych dokumentów, których ponoć nie czytali przy podpisywaniu. Tenże sam Zapolski w czasie wojen szwedzkich wystawił własnym sumptem jedną chorągiew wojska — a K. Niesiecki wspomina w swoim herbarzu, iżłożył ze swej szkatuły wielkie sumy na naukę młodzieży szlacheckiej.

Przyszło mu żyć i działać w czasach bardzo niespokojnych — i jeden z fragmentów jego życia zasługuje na specjalną uwagę.

Od roku 1648 trwa na Ukrainie powstanie Chmielnickiego. Zawarte z nim zawieszenie broni jest nietrwałe, obie strony przygotowują się do generalnej rozprawy. Chmielnicki rozsyła po całej Polsce emisariuszy; jeden z nich, Kułakowski, przesłuchiwany w Kaliszu zeznaje, że mieli oni „dwory i domy szlacheckie zebrząc szpiegować, o dostatkach pytać, chłopów przeciw panom buntować, a osobliwie tam, gdzie zwierzchność na poddanych ciężka”. Że działalność emisariuszy kozackich napotykała nieraz na podatny grunt — świadczy m. in. relacja z procesu 150 młynarzy myszkowskich, zawarta w Księgach Gnieźnieńskich pod datą 1649, gdzie czytać można i taką wypowiedź chłopską: „Ej, dałby nam tu Pan Bóg pana Chmielnickiego, nauczyłibyśmy tych panów, jak to szarpać chłopów”. Z sytuacji zdawały sobie sprawę także i rządzące koła szlacheckie, skoro 15 kwietnia 1651 „Nowiny z Warszawy” nawołują do „baczności wielkiej, bo zewsząd poddaństwo gotowe by było do tych

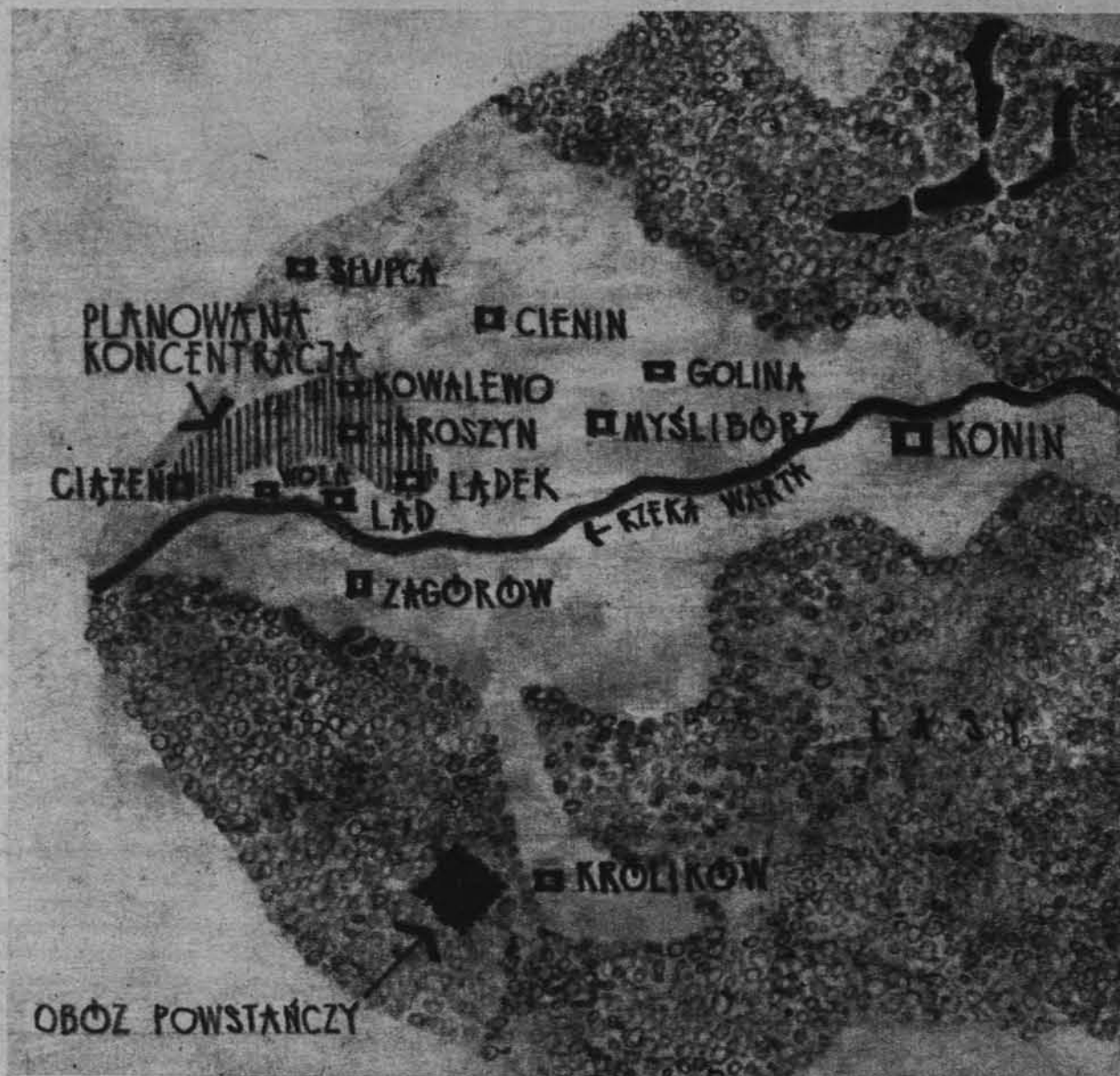
zdrajców ubiegać”, zaś w styczniu 1651 Jan Kazimierz wydaje uniwersał, w którym ostrzega przed działalnością tych, którzyby się „bez przepowiednich listów kupili” (tj. skupiali, łączyli w gromady zbrojne).

W tych właśnie burzliwych czasach — w r. 1651 — przystępuje Jan Zapolski do budowy nowego kościoła klasztornego w Łądzie. Na miejscu starego budynku stanąć ma nowy, barokowy, „o pięciu kaplicach wzniesionych z gruntu, każda w oddzielnej framudze sklepionej”, i z oknami „na kształt półmiesiaka”. W związku z olbrzymim zakrojem dzieła, Zapolski nakła-

da na poddanych dodatkowe ciężary i daniny, żąda robocizny przy rozbiórce starego kościoła i zwózce materiałów budowlanych. W rezultacie — jak zezna później cytowany już Kułakowski — sytuacja chłopów w klasztornych dobrach łądzkich stała się wyjątkowo ciężka. I wtedy właśnie, równocześnie z rozpoczęciem przez J. Zapolskiego prac przy nowym kościele klasztornym — rozpoczyna swoją działalność rotmistrz Piotr Grzybowski, stojący na czele inspirowanej przez Chmielnickiego akcji spiskowej na terenie Wielkopolski. Werbuje emisariuszy i szpiegów (wkrótce miał ich już 80), odbiera od nich przysięgę na zachowanie tajemnicy i wierność. Cała ta akcja jest po trochu mistyfikacją liczącą na wykorzystanie niewątpliwych społecznych krzywd poddaństwa: Grzybowski zaopatrzone jest w sfalszowane „listy świadczące z pieczęciami i podpisami ichmościów panów hetmanów koronnych”, z ramienia których rzekomo działa. Listów tych nie okazuje jednak wszystkim, chyba gdy „na domatora, albo prostaka trafił”.

Zwerbowani przez Grzybowskiego emisariusze, działający częstokroć w dobrej wierze, bo wierzący, iż akcja chłopska przeciwko szlachcie przygotowywana jest „za wiedzą i zgodą króla i hetmanów” — rozchodzą się po całej Wielkopolsce. Jedni wędrują w kobiecym przebraniu, inni w żebraczych lachmanach. Emisariusz Ostrowski np. krążył po wsiach z dwoma tresowanymi małpami, zebrząc i dając widowiska, zaś sam rotmistrz Grzybowski udawał jeńca zwolnionego z niewoli pogańskiej i zbierającego pieniądze na okup.

Dnia 2 czerwca 1651 pochwycony zostaje w Królikowie, folwarku należącym do klasztoru w Łądzie, jeden z wysłanników Grzybowskiego — wzmiankowany już Kułakowski. Dzierżawca folwarku, Niedźwiecki, odsyła więźnia do Kalisza, gdzie Kułakowski poddany zostaje przesłuchaniu i jeszcze przed zastosowaniem tortur zdradza cały plan akcji, podając także szczegółowe rysopisy Grzybowskiego i innych przywódców. Wedle jego zeznań przewidziana była koncentracja we wsiach otaczających bezpo-



Jan Zapolski. Portret trumienny w Zagórowie. Fot. Zygmunt Pęcherski.

średnio Łąd — a więc w Ciążeniu, Kowalewie, Jaroszynie, Ładku i Woli Łądzkiej.

Już 4 czerwca biskup poznański, Florian Czarotoryski, otrzymuje meldunek o wyniku przesłuchania Kułakowskiego; o wydaniu swojego planu i zdradzie dowiaduje się także Grzybowski — który mimo wszystko nie rezygnuje z walki. Przyspiesza koncentrację, lecz zmienia jej ośrodek z gęsto zamieszkałych okolic Ładu na lasy w okolicach Królikowa. Już 7 czerwca Niedźwiecki donosi, że rotmistrz Grzybowski na czele 2000 ludzi okopał się w lasach i rozpoczął akcję zaczepną, paląc kilka młynów. Musiał to być człowiek o wyjątkowych talentach organizacyjnych i dużej przytomności umysłu — jeśli zaledwie w ciągu 5 dni zdołał opracować i zrealizować nowy plan kampanii.

W kraju nie ma wojsk królewskich, które wraz z oddziałami pospolitego ruszenia udały się na Ukrainę; pozostają do dyspozycji jedynie oddziały biskupie. I rzeczywiście biskup poznański, Czarotoryski, wysłał 200 jeźdźców, zaś rezydujący podówczas we Włocławku brat królewski, biskup Karol Waza — oddaje do dyspozycji 300 dragonów. Oddziały te spotykają się najpraw-

dopodobniej w Słupcy, obwarowanym miasteczku należącym do biskupstwa poznańskiego, zaś komendę nad nimi obejmuje opat Jan Zapolski.

Bezwzględna, bo czterokrotna przewaga ilościowa jest po stronie Grzybowskiego, który dysponuje 2000 ludzi; zgromadzone przeciwko niemu oddziały biskupie liczą zaledwie 500 żołnierzy — ale jest to żołnierz wyćwiczony i dobrze uzbrojony. Licząc na swoją przewagę jakościową opat Jan Zapolski uderza bez zwłoki na obóz Grzybowskiego. Opisu samej bitwy niestety nie mamy; wiadomym jest tylko, że obóz został deszczynie rozbity, zaś ogromna większość chłopów ratowała się ucieczką. W dniu 24 czerwca nuncjusz papieski Jan de Torres donosi o stłumieniu buntu dzięki nagłemu pojawieniu się opata łądzkiego na czele 500 jeźdźców; relacja nie wspomina o schwytaniu przywódców buntu — skąd wniosek, że Grzybowski musiał się uratować. W przeciwnym bowiem wypadku nie o-mieszkano by pochwalić się jego ujęciem.

Bunt chłopów w dobrach klasztoru łądzkiego jest jedynym w historii buntom zbrojnym chłopów wielkopolskich. Współczesny wojnie kozackiej i powstaniu

Kostki Napierskiego na Podhalu — posiada on jednak swój odrębny aspekt. I tak, Kostka Napierski zajmując Czorsztyn dnia 14 czerwca 1651 roku ma pod swoją komendą zaledwie ok. 40 ludzi, nie licząc oddziału chłopskiego w sile 500 osób; Piotr Grzybowski wszczyna akcję już 7 czerwca (a więc o 7 dni wcześniej) — stojąc na czele oddziału o wiele liczniejszego, bo liczącego — jak wspomnieliśmy — 2000 chłopów. Napierski po zajęciu Czorsztyna, które niewątpliwie było pewnym sukcesem militarnym — zaniedbuje koncentrację, przybiera sobie nazwisko magnackiego rodu Kostków, rozpowszechnia wiadomości, iż jest naturalnym synem Władysława IV — i zabawia się układaniem

wierszy na swoją cześć. Zdradzonemu jeszcze przed rozpoczęciem akcji Grzybowski zmienia błyskawicznie plan akcji, organizuje sprawnie koncentrację sił i mimo wszystko próbuje zrealizować postawione przed sobą zadanie.

W obu wypadkach bunt został stłumiony przez oddziały biskupie, ale główną przyczyną niepowodzenia były wieści o klęsce Chmielnickiego pod Beresteczkiem, oraz spodziewany powrót wojsk koronnych.

Podczas, gdy powstanie Kostki Napierskiego jest bardzo znane — o buncie Grzybowskiego niewiele dotąd było wiadomo. A sądzić można, że sprawa ta zasługuje na dokładniejsze zbadanie.



Autor artykułu, ur. w 1921 r. w Koninie, z wykształcenia handlowiec. Z zamiłowań: krajoznawca i turysta. Twórca i kierownik konińskiego Muzeum Regionalnego, wieloletni działacz ruchu krajoznawczego. Obecnie prezes Oddziału PTTK w Koninie.

ZYGMUNT PĘCHERSKI

PATRZ NASTĘPNE STRONY

FOT. WACŁAW NOWAK



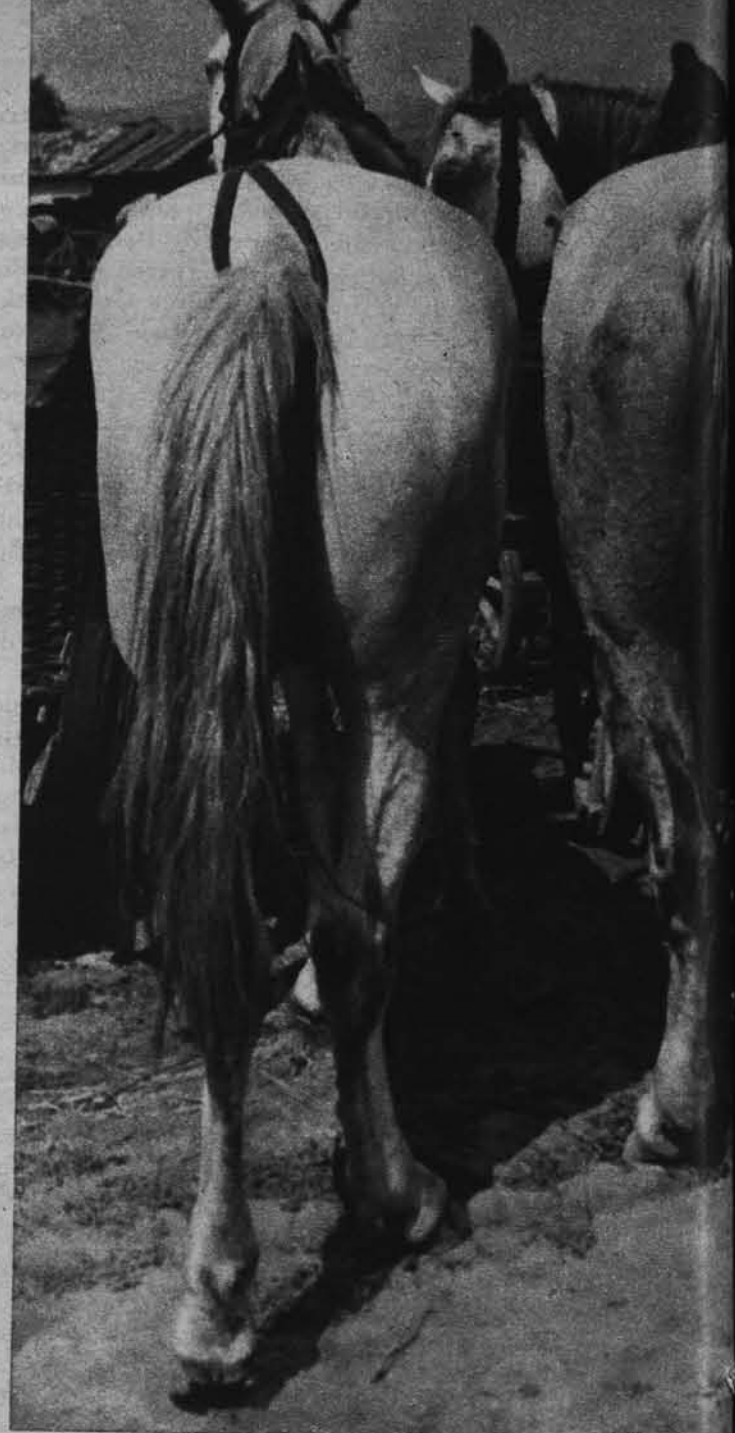


FOTOGRAFOWAŁ WIESŁAW TOMASZKIEWICZ



Ogromny kwadrat rynku obramowanego czystymi parterowymi domkami wypełnia ruchliwa, barwna ciżba ludzka. Ponad gwar i hałas ustawicznie przebijają się głośnie rżenia koni, kwik świni i ryk bydła. Oto jesienny jarmark koni w Starym Sączu. Jesienią, co drugą środę, ożywiają się szlaki wiodące do tego miasta położonego w malowniczym zakątku — tam gdzie się spotyka Dunajec z Popradem. Drogi ciągną z całej Sądectczyzny i Podhala amatorzy dobrych i ładnych koni. Ciche zazwyczaj miasto ożywia się, wypełniając po brzegi ludźmi i końmi. Wielkimi, małymi, karymami, siwkami, bułankami.

Targowicę zapętlają długie rzędy wozów chłopskich i pięknych koni, których wyszczotkowana sierść lśni w jesiennym słońcu. Między tą ciżbą uwijają się żwawo zainteresowani.



„Słynął Sącz Stary drzewiej z rzemiosła
Mieszkańców” jego fortuna rosła.
Łały się strugi wina i starki
W huczne, buńczuczne końskie jarmarki”
(Kajetan Petrowicz)

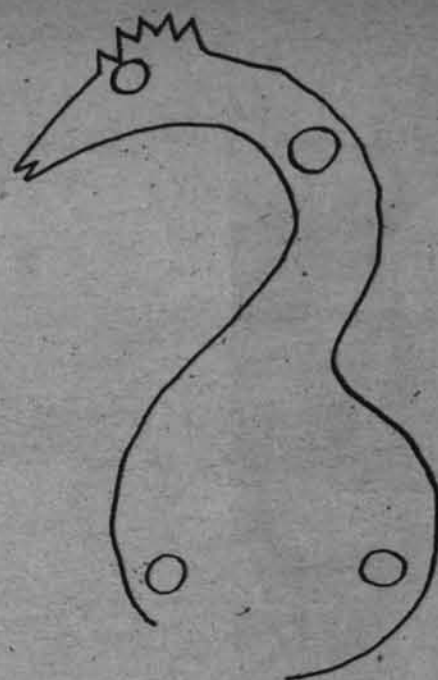
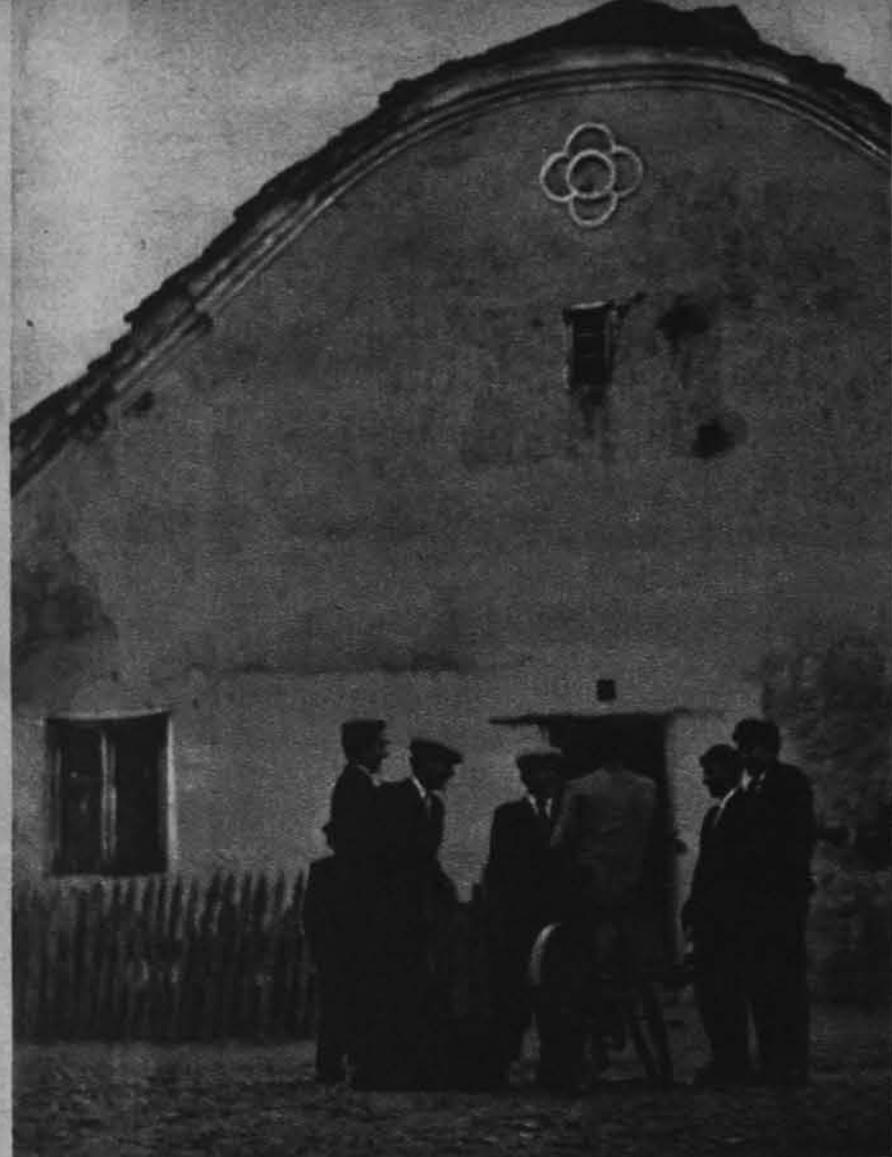


Właściciele demonstrują zalety swych zwierząt, kupujący
chytro wykrywają ich wady. Ostatecznym argumentem jest
próba konia — na wytrzymałość, siłę, chód. Pokaz taki gro-
modzi licznych kibiców. Toczą się długie dyskusje, po któ-
rych następuje dobicie targu kończące się zazwyczaj w po-
bliskiej gospodzie ćwiartką gorzałki i piwem. Tak kaze zwy-
czaj pilnie przestrzegany przez obie strony: sprzedającego
i kupującego. Funduje nabywca!



HUCZNE, BUŃCZUCZNE KOŃSKIE JARMARKI





FANTAZJA JENERAŁA

Skoro tylko od strony palacu zabrzmią dźwięki skocznej, wygrywanej na katarzynce melodii, we wsi zrywają się wszyscy. Niezliczone kroki dudnią na piaszczystej drodze. Trzaskają pospiesznie zamykane drzwi chałup. Poprzedzany przez chmarę dzieciarni tłum pędzi wzdłuż szeregu zagród, mija okrągły domek dozorczy parkowego i przez otwartą bramę wpada na pałacowy dziedziniec. Tłoczą się. Każdy chce stać jak najbliżej okna, z którego za chwilę wychyli się dziedzic-„jenerał”. A kiedy wreszcie pojawia się pan Szydłowski, tłum na moment zastyga w bezruchu napiętej uwagi. I nagle z okna zaczyna się sypać istny deszcz łakoci i monet. Na dziedzińcu krzyk i zamieszanie. Ludzie chwytają pieniądze w locie, popychają się, przewracają. Uciechy co nie miara.

Wizja łaskawego dziedzica po dziś dzień żyje w tradycji mieszkańców wsi Patrykozy, mimo że już wiek mija od czasów kiedy stary generał rezydował w tutejszym palacu. Nic w tym zresztą dziwnego skoro cała ta podlaska wieś jest niejako pomnikiem tej niezwyklej postaci. Jakkolwiek Patrykozy były ponoć tylko częścią rozległych posiadłości generała, to przypadła im w udziale rola wyjątkowa. Tu właśnie z końcem pierwszej połowy ubiegłego stulecia postanowił pan Szydłowski zbudować swoją rezydencję, a wokół niej założyć wieś. Wszystko w tym założeniu zostało przemyślane starannie do najmniejszego szczegółu. Nowo powstająca wieś miała wraz z rezydencją i folwarcznymi zabudowaniami tworzyć jedno wielkie, wzorowo urządzone gospodarstwo. Rozmach projektu i konsekwencja jego realizacji duchem swym żywo przypominają programy gospodarcze niektórych majątków magnackich doby Oświecenia.

Analiza dotychczas zachowanych budowli i relacje mieszkańców wioski po-

zwalają naszkicować obraz Patrykozów sprzed 100 lat, a więc tych, w których żył nasz generał. Nie będzie to oczywiście obraz ani pełny, ani całkowicie wierny, bo nawet najstarsza mieszkanka wsi, 88-letnia Katarzyna Karezowa zna dawnego dziedzica tylko z opowiadań swej matki. Pamięć ludzka jest zawodna a skłonność do idealizowania tego co minęło — znana. Ale w braku innych źródeł — dobre i to. Jak wtedy wyglądały Patrykozy sprzed wieku?

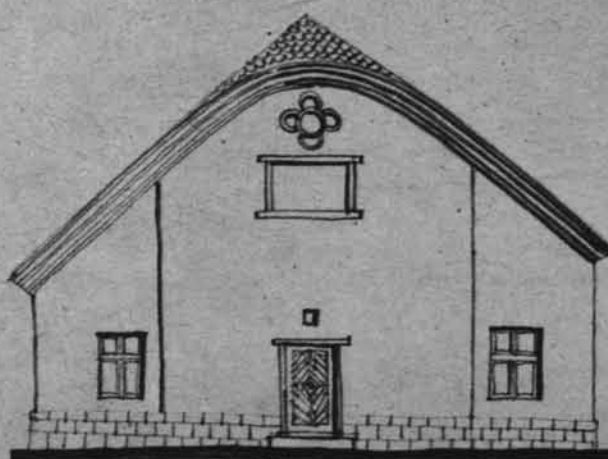
Wieś zbudowana wzdłuż dwu odcinków drogi tworzy wraz z dworskimi czworakami i pałacem nieregularny czworobok. Frontem do traktu stoją tu naprzemian murowane i drewniane chałupy. To obawa przed ogniem podyktowała generałowi użycie droższego od drewna budulca. Teraz za to jego Patrykozy nie spłoną całe od jednej iskry czy pioruna, jak to co roku zdarza się w dziesiątkach wsi Królestwa. Stodoły pobudowane raz bliżej raz dalej, tworzą nieregularną linię. To również ma utrudniać przenoszenie się pożaru. Każdą zagrodę otacza mocny parkan. Każdy dom zbudowano według tego samego planu — cztery obszerne izby wokół olbrzymiego butelkowatego komina, zwanego w tych stronach „czarną kuchnią”. Do każdej chałupy wiodą bliźniacze drzwi klepkowe, nabijane ozdobnymi ćwiekami. Kłamki w nich zapadkowe z wykładkami na kształt czubatej ptasiej główki. Domy zamieszkałe są po dwie rodziny, gospodarujące każda osobno na przywiązanej do zagrody włóce gruntu. Murowane chałupy mają ozdobne fasady, te zaś, które stoją na skrzyżowaniach, wyglądają szczególnie okazałe wyróżniając się od pozostałych. Niech już zdała zwiastują przybyszowi, że „nie do zwyczajnej wioski wjeżdża”. U wylotu drogi prowadzącej do Kożuchowa sterczy ze szczytu chałupy ceglana wieżyczka z zegarem. Dźwięk wydzwanianych godzin miesza się z łoskotem młotów pracującej naprzeciw kuźni.

ziemia MATERIAŁ PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

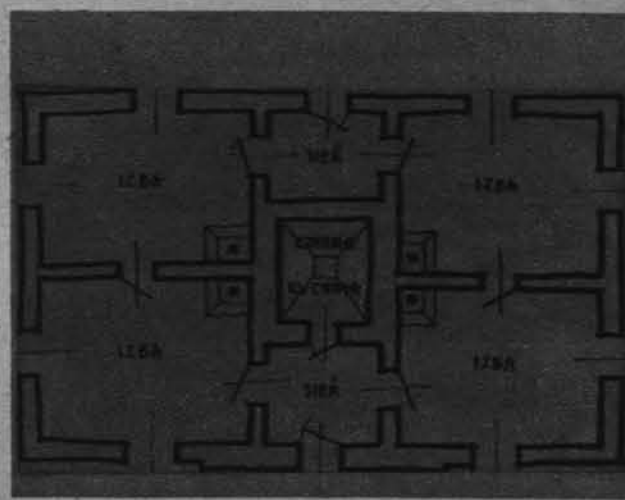
Stara kuźnica, rekonstrukcja.



Dom murowany, dwurodzinny, rekonstrukcja.



Plan domu dwurodzinnego, rekonstrukcja.





Dawna budka stróża w zwierzyńcu pałacowym.

NAPISAŁ LESZEK DZIĘGIEL

A poza wsią i czworakami rozciąga się strzeżony budkami dozorców i ogrodzeniem — park i zwierzyńiec, gdzie żyją „wszystkie zwierzęta, jakie są na świecie”. Tak przynajmniej mniema chłop z Patrykozów i takie właśnie wspomnienie o parkowej arce Noego przekaże swym dzieciom i wnukom. Spośród zieleni, za czarną taflą stawu sterczą wieżyczki pałacu. Tam mieszka pan Szydłowski, „jenerał wojsk polskich”, stary kawaler, filantrop i dziwak po trosze. Ten, który w czas głodu i nieurodzaju każe rozdawać po chałupach żywność z dworskich magazynów w zamian za dość symboliczny odrodek — przebieranie grochu „by po próżnicy nie siedzieli”. Który obdarowuje tłum wieśniaków na pałacowym dziedzińcu. I który pod koniec życia postawiłby własnym sumptem kościół murowany w Kozuchowie, gdyby nie sprzeciw ambitnej szlachty zaściankowej, czego do dziś nie mogą jej darować właścicielskie Patrykozy.

Umarł generał Szydłowski, a posiadłość przeszła w ręce obcych ludzi. W roku 1864 skończył się rygor pańszczyźniany. W pałacu zmieniali się właściciele, przebudowując go i poprawiając z końcem XIX wieku. Po rządach starego, jenerała niczym już jednak nie potrafili wsi zaimponować. Wspomnienia o twórcy Patrykozów żyły wśród chłopów przekazywane z pokolenia na pokolenie. Ze starych domów pańszczyźnianych zaledwie część zachowała się do dnia dzisiejszego. A i te, przerabiane w początkach XX wieku i w okresie międzywojennym, sporo utraciły na wyglądzie. Oszepecono je mnóstwem przybudówek. Okazałe czerwone dachówki zastąpiono słomą. Zegarową wieżę na domu rodziny Cholewków rozebrano, a cegły z niej zużyto



Pałac Szydłowskiego w Patrykozach.

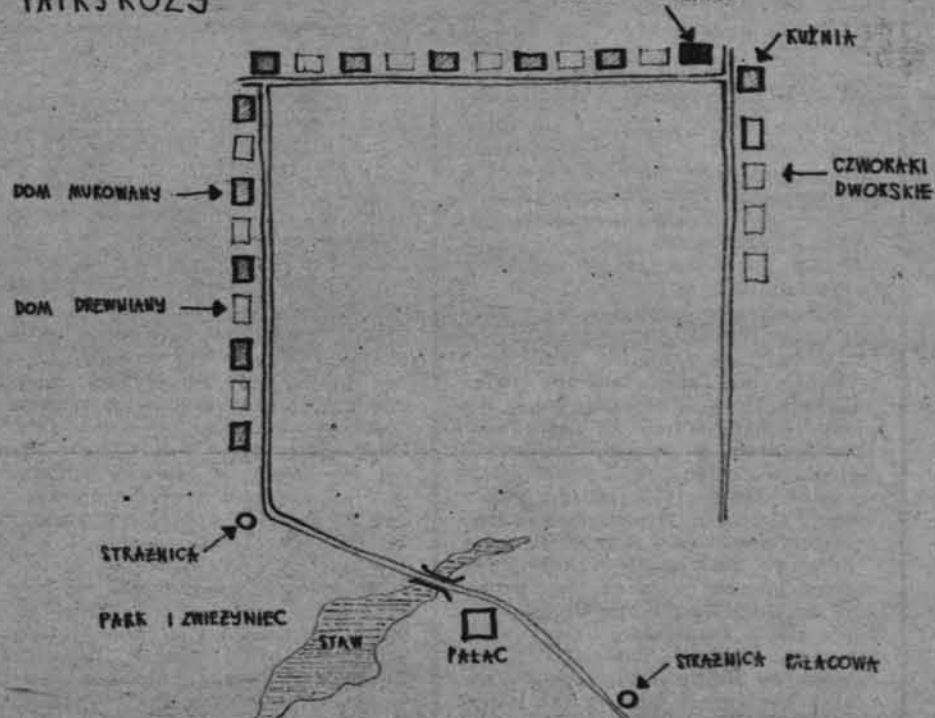
na budowę. Co się stało z zegarem — nikt już ponoć nie pamięta. Po parkanach ogradzających niegdyś poszczególne gospodarstwa ani śladu. W dawnych dwurodzinnych domach gnieździ się teraz po cztery rodziny. Toteż młodzi narzekają na niewygodę i ciasnotę. Gdzież to miał rozum stary dziadzio budując takie ciemne, ciasne izdebki?

Wiejscy parobcy w odświętnych granatowych garniturach, kupowanych zapewne w pobliskich Siedlcach, obserwują z ironią obcych przybyszów, którzy fotografują starożytne domy. I trudno chyba byłoby im wytłumaczyć ze te rudery z Patrykozów były za czasów Szydłowskiego przykładem wzorowych zabudowań wiejskich. Ze w porównaniu z chałupami innych wsi pańszczyźnianych tej okolicy były one nowoczesnymi, wygodnymi mieszkaniami. Młodzi ludzie wychowani od dzieciństwa w Patrykozach nie zdają sobie sprawy z tego, że ich niewielka wioska jest niezwykłym zjawiskiem w historii urbanistyki wsi. Nikt im ani w szkole, ani tym bardziej w domu nie tłumaczył, że te stare chałupy stanowią cenne źródło do historii architektury ludowej tego regionu. Ze mówią one o wpływach, jakim podlegało tu budownictwo wiejskie w ubiegłym stuleciu.

Z tego zresztą nie zdawało sobie nigdy sprawy i starsze pokolenie. Ich zainteresowania koncentrowała na sobie zawsze jeneralska rezydencja. W chałupach mieszkali — pałac mogli tylko podziwiać. Ten brzydki, na romantyczną modłę zbudowany gmach intryguje ich nawet teraz, kiedy opustoszały wytrzeszcza czarne oczodoły okien, w których kto wie czy nocą nie dojrzeliby zjawy zmarłego jenerała. Tu bowiem podobno — jak głosi jedna z miejscowych opowieści — „po upadku Polski” (?) Szydłowski dobrowolnie zagłodził się na śmierć.

PATRYKOZY

WIEŻA Z ZEGAREM



ZDJĘCIA I RYSUNKI ZBIGNIEW GUCWA

Dom murowany dwurodzinny, rekonstrukcja.



ŻAŁOSNEJ I NIESZCZĘŚLIWEJ SPRAWY

Nie ma już tych murów, które w dniu 27 listopada 1715 roku odbijały echo słów pisarza trybunalskiego, ogłaszającego wyrok w sprawie „urodzzonego Zygmunta Unruga”. Dawny ratusz piotrkowski — w latach 1578—1793 siedziba Trybunału Koronnego — został w połowie XIX wieku rozebrany na polecenie władz carskich. Ale miłośnicy zabytków mogą jeszcze znaleźć innych świadków tamtego prawdziwie historycznego, choć zapomnianego potem wydarzenia. Wokół rynku w Piotrkowie stoją stare kamieniczki o elewacjach identycznych jak te, przedstawione na starej rycinie, okalające dawny trybunał. W oknach tych kamieniczek na pewno odbijał się owego dnia blask stosu, na którym palono jedyny dowód rzeczowy z procesu, w którym skazano Zygmunta Unruga na „...spalenie ręki winowajcy przez kąt, język tylną stronę przez kark na wyrwanie, a głowę na ścięcie mieczem...”

Sprawę Unruga przypomniał po raz pierwszy Aleksander Kraushar, ogłaszając w roku 1890 pracownice zestawiony, na licznych źródłach oparty opis wypadków poprzedzających proces i tych, które po nich nastąpiły. Dziw bierze, iż wydarzenia te uszły uwadze historyków. Osoba Zygmunta Unruga bowiem zamieszana była we wszystkie ważniejsze wydarzenia polityczne owej doby, nieraz nawet stając się osi, wokół której obracały się koła mechanizmu historii. W ówczesnej Europie zaś proces Unruga odbił się tak silnym echem, że sam papież wziął udział w walce o życie skazanego.

WYROK TRYBUNAŁU

Na krzesłach wybitych czerwonym safianem zasiedli z nakrytymi głowami deputaci świeccy. Deputaci duchowni mieli twarze zasłonięte dłońmi. Przewód sądowy już się zakończył.

— Woźny, otwórz drzwi — zawołał marszałek uroczystie.

Woźny trybunalski zamiast otwierać, zatrzęsł ciężkie drzwi wejściowe. Taki obyczaj obowiązywał w Trybunałach.

— Woźny, zamknij drzwi — zawołano po raz drugi.

Po tych słowach woźny otworzył drzwi z impetem.

— Woźny, otwórz drzwi.

Podwoje okute żelazem zamknęły się z hałasem na nowo. Pisarz trybunalski rozpoczął wśród uroczystej ciszy odczytywanie wyroku, którego sentencję już znamy. Zygmunta Unruga uznano winnym „obrazy Majestatu Boskiego” i skazano na karę najstraszniejszą, jaką można było wymierzyć w owych czasach szlacheckim.

Wśród tajemniczego i przerażającego rytuału cała potęga najwyższego sądu Polski szlacheckiej zwróciła się przeciw jednemu człowiekowi. Od wyroku Trybunału nie było już odwołania. Nie mógł już ulaskawić ani sejm, ani król. Ale skazany miał jeszcze szansę: Unruga toczyła się zacięcie i mógł rozprawy uciekać za granicę, do Niemiec, aby stamtąd walczyć o sprawiedliwość.

UKRYCI WROGOWIE

Powód oskarżenia nie był w gruncie rzeczy poważny. Niejaki Andrzej Potocki, szlachcic wielkopolski, zeznał pod przysięgą, iż Zygmunta Unruga, kalwin, „z nienawiści do kościoła ka-

tolickiego skreślił w rękopiśmiennej księdze bluźnierstwa przeciw Bogu i wierze”. Obrońca nieobecnego Zygmunta, brat jego Bogusław, napróżno zapewniał sędziów, iż mają przed sobą nie księgę heretycką, lecz notatki uniwersyteckie oskarżonego, zawierające wypisy z filozofów, także i katolickich. Wyrok zapadł mimo to. Tegoż dnia jeszcze na rynku piotrkowskim ustawiono stos, na którym kobieta pełniąca obowiązki kasa spaliła notatki Unruga, oraz — przez pomyłkę — księgę wydaną przez officium papieskie, dowód obrony.

Wyrok, nawet jak na owe czasy, zdumiewa surowością. Przecież od różnego rodzaju „heretyków” aż roiło się w ówczesnej Polsce, a nietolerancja w gruncie rzeczy nie przybrała u nas nigdy ostrej formy. Czasem gnębiono mieszczan-innowierców, czasem drobniejszą szlachtę. Zresztą jak się okaże z dalszego ciągu relacji — Unrug znalazł najżyczliwszych obrońców w jezuitach, którzy zdecydowanie odrzucili twierdzenia o „heretyckości” rzekomej księgi. Na oskarżyciela, Andrzeja Potockiego, rzucono nawet kłutwę, odczytaną przy biciu w dzwony we wszystkich kościołach. Widać więc wyraźnie, że nie herezja była powodem skazania. Potocki, figura dość mizerna, musiał mieć potężnych protektorów, skoro przez lat kilka nic sobie nie robił z ekskomunikacji. Lekceważąc całą powagę zakonu jezuitów zajął przyznaną mu wrokiem Trybunału połowę rozległych dóbr skazanego.

Czy więc tajemniczy opiekunowie Potockiego nie byli jednocześnie wrogami Unruga? Czy proces ów, to nie pretekst do dokonania politycznego morderstwa?

UNRUG OBALA TRONY

Zygmunta Unruga, magnata wielkopolskiego, potomka rodziny niemieckiej, niedawno osiadłej w Polsce — był postacią niezwykłą. Wykształcenie odebrał staranne, co w saskiej Polsce było rzeczą naprawdę rzadką. Przez lat kilka przebywał we Frankfurcie, zwiedził Niemcy, Włochy, Francję, a wadził o Sorbonę. Interesował się filozofią, opanował biegle języki klasyczne i wszystkie ważniejsze współczesne. Podczas studiów pracował podobno wytrwale. Systematycznie prowadził zapiski, te, które później stały się przyczyną, a raczej pretekstem nieszczęścia.

Powróciwszy do kraju, rozpoczął błyskotliwą karierę polityczną, przenosząc współczesnych Sarmatów nie tylko wykształceniem i rozumem, ale także europejską ogładą i — ambicjami. Wkrótce na dworze Augusta II stał się czymś w rodzaju osobistego sekretarza królewskiego, spełniając nieraz z jego polecenia sekretne misje dyplomatyczne. Był szambelanem i pułkownikiem wojsk koronnych. Wrogów osobistych, zwłaszcza wśród możnych, raczej nie miał, choć zarzucano mu „zbytnią dbałość o dobra doczesne”. W czasie służby dworskiej powiększył Unrug ponoć znacznie dziedziczny majątek.

Kiedy tron Sasa się zachwiał, bystry i zupełnie pozbawiony skrupułów Unrug pojawia się w Warszawie wśród konfederatów, ogłasza prywatne i tajne listy króla, odcyfrowuje szyfrowaną korespondencję. Następnie ogłasza wzburzenie. Augusta zdeponowano, królem zostaje Stanisław Leszczyński. Unrug natychmiast ofiarowuje mu swoje usługi — i znów

rusza do stolic europejskich w tajnych misjach dyplomatycznych.

Po klęsce Karola XII pod Poltawą niepewna z kolei staje się sytuacja Leszczyńskiego. Tym razem Unrug zrzęcznie ukrył się w cieniu wydarzeń i nie wiemy czy przy tej drugiej dekonstrukcji odegrał tak ważną rolę jak przy pierwszej. W każdym razie po wyjeździe Leszczyńskiego do Francji na dworze Augusta pojawia się znów Unrug, „ukorzywszy się” jak zapisa- no, przed nowym panem.

TAJNE ARCHIWA

Kraushar, opisując te wypadki, zestawia tylko fakty wyłowione ze źródeł pisanych, powstrzymując się raczej od komentarzy i wniosków. Nie wszystkie jednak materiały były dostępne. Akta dotyczące dyplomatycznej działalności Unruga jeszcze w końcu XIX wieku przechowywano w tajnym skarbcu archiwum pruskiego, a dwór wiedeński wręcz odmówił naszemu historykowi udostępnienia korespondencji Unruga. Te fakty chyba zupełnie wyraźnie mówią o szerokim, międzynarodowym znaczeniu działalności Unruga.

Być może więc nie tyle w ściągających się partiach krajowych trzeba szukać wrogów, dybiących na życie dyplomaty, co na dworach sąsiednich monarchów, zainteresowanych w polskiej polityce. Wiadomo przecież, iż monarchowie ci mieli swoich licznych płatnych agentów wśród posłów na sejm, wśród dostojników koronnych, a nawet biskupów i magnatów. Szczególnie celował w tym dwór moskiewski. Nie trudno więc powziąć przypuszczenie, że skład trybunału, sądzący Unrugą, był na obcym żołdzie. Wyrok byłby w takim razie zemstą za pokrzyżowanie jakichś politycznych planów.

RZYM SPRAWIEDLIWY

Gorliwość, z jaką jezuita podjęli obronę Unruga, otoczyli opieką jego dzieci, pozostawione w kraju po ucieczce ojca, pozwala przypuszczać, iż ten rzekomy heretyk był ich sprzymierzeńcem, lub raczej agentem wysokiej rangi. Okazali się księża wiernymi sojusznikami, skoro przez jedenaście lat wytrwale prowadzili walkę o niewinnienie banity.

W roku 1719 powtórnie zebrał się Trybunał w sprawie Zygmunta Unruga. Rozpatrywano orzeczenie Sorbony, stwierdzające uroczystie, że oskarżenie Unruga o herezję było bezpodstawne, przeto wyrok sprzed czterech lat powinien zostać unieważniony. Jednak, choć oczywiście w innym już składzie, Trybunał wyrok w mocy utrzymał... jednocześnie uznając racje paryskich profesorów za słuszne.

W dwa lata później starania o uniewinnienie Unruga podjął poseł papieski w Warszawie, Santini. Orzeczenia trybunału nie mogła uchylić żadna władza krajowa. Natomiast kuria papieska uznała wyrok za bezprawny, jako wydany w sprawie kościelnej. Kolegium kardynałów ogłosiło „nieważność” sentencji trybunału świeckiego, a prokuratorowi papieskiemu polecono dopilnować sprawiedliwości.

Sprawa nie mogła postępować szybko, bowiem w epoce owej wszelkie instytucje publiczne znajdowały się w stanie rozprzężenia. Jednak interwencja papieska dawała dużą nadzieję. Nie próżnował i Unrug i nie czekał bezczynnie na wyniki starań przyjaciół. Wysłał do kraju dzie-

siatki listów, jednał sobie zwolenników wśród szlachty poznańskiej, szczególnie posłów, urabiał opinię przy pomocy druków ulotnych. Szczególnie dzięki broszurze „Rzym sprawiedliwy dla Zygmunta Unruga” sprawa stała się głośna w całym kraju.

ZWYCIĘSTWO UNRUGA

W roku 1724 nastąpiły słynne zamieszki toruńskie, rozpoczęte walką zakonów jezuickich z mieszczanami protestantami, a skończone wyrokami śmierci na dysydentów. Wśród rozjątrzenia religijnymi sporami przypomniało sobie dziwnym sposobem Zygmunta Unruga i wdanie się Rzymu w jego sprawę. W obronie „złotej wolności” odrażano się „w Trybunałach lby ucinąć tym, którzy by wzmiankę o sentencji rzymskiej uczynili, a dla tej sentencji Ojca św. papieżem kalwińskim nazwano”. Przeciwnicy Unruga (i jego protektorów) wykorzystywali w obronie wyroku piotrkowskiego najniższe instynkty masy szlacheckiej.

Nadszedł jednak rok 1726, w którym sprawa po 11 latach znalazła happy-endowe rozwiązanie. Sejm grodzieński przeprowadził korekturę Trybunału, uchwalił następnie „zabezpieczenie życia i swobodnego zamieszkania w Królestwie Zygmunta Unruga”. Niemal w tym rolę odegrali posłowie z Poznańskiego, stawiający wniosek. Jeszcze kilka lat trwały starania o odzyskanie utraconego majątku. Zmarł Unrug w Warszawie, w roku 1732, pozostawiając dzieciom dobra wielkopolskie, które mu prawie w całości zwrócono.

150 LAT MILCZENIA

Ostatnie echo tych wydarzeń (oczywiście przed książką Kraushara) to wyrok tegoż Trybunału, piotrkowskiego, rozpatrującego w roku 1741 zawity spór między sukcesorami Unruga a potomkami oskarżyciela, Andrzeja Potockiego. W trakcie odbierania utraconego majątku sprawę powikłały się znacznie: poszczególne folwarki uległy rozdrobnieniu, częściowe sprzedaży etc. Trybunał skargi Potockich oddalił, a w zakończeniu wyroku nakazał „stronom wiekuiście o całej tej sprawie zachować milczenie”.

Istotnie — gdyby nie docieklivość badawcza autora książki „Sprawa Zygmunta Unruga”, milczenie to trwałoby do dziś. Badacz-historik wyłowił z foliów starych akt trybunalskich, z korespondencji, z broszur ulotnych i z pamiętników skazanego (pt. „Relacja dyskretna...”) — historię tak dziwną, że mogłaby ona stanowić ośnowę sensacyjnej powieści.

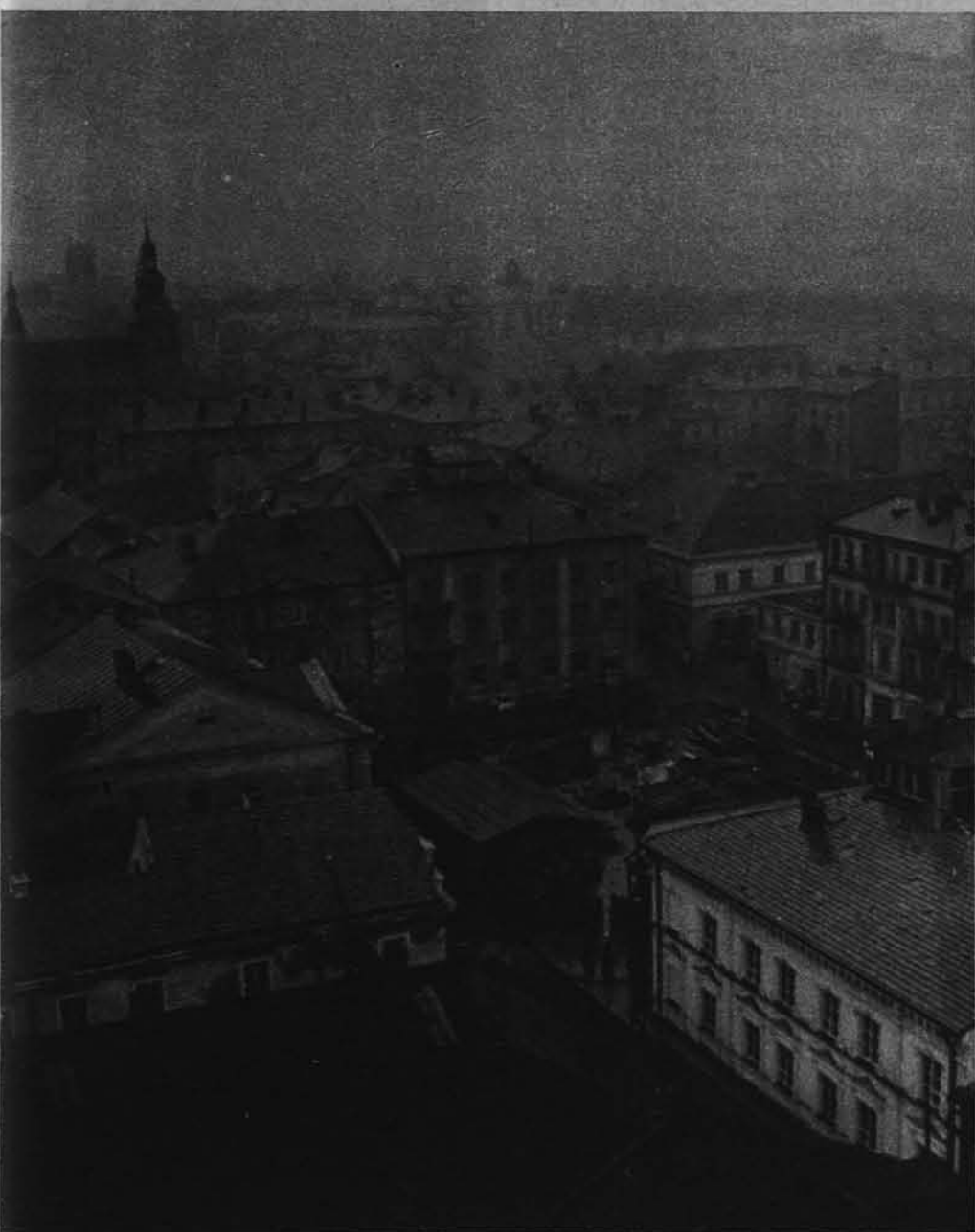
Jeśli chodzi o wartość naukową odkrycia Kraushara, to sądzi on, iż bez znajomości tej sprawy „niepodobna zrozumieć prądów umysłowych i politycznych Rzplitej owej epoki”. Oczywiście jest w tym wiele przesady, ale napewno „sprawa unrugowska” to znacznie więcej niż przyczynek do znanych dobrze wydarzeń historycznych. Zresztą nawet w samej tej sprawie nie wyjaśniono wielu jeszcze kwestii. Czekają one na historyków-detektywów, na badaczy-amatorów. Niewątpliwie stare archiwa kryją niejedną jeszcze tajemnicę. Gdyby nie Kraushar, zapewne do dziś „nieszczęśliwą sprawę” Zygmunta Unruga pokrywałoby milczenie.



TAJEMNICE TRYBUNAŁU KORONNEGO



Jeden z zaułków dzisiejszego Piotrkowa.



Rynek w Piotrkowie. Na jego środku stał niegdyś budynek Trybunału i katorówka paliła publicznie akta „żałosnej sprawy”. Obecnie założono tu skład drzewa.



TRYBUNAŁ KORONNY 1578—1793

Na Sejmie w roku 1578 zapadła uchwała powołania Trybunału Koronnego, jako Najwyższego Sądu w Polsce. Duże zasługi przy powołaniu Trybunału położyli Orzechowski, Modrzewski i Jan Zamojski. Trybunał sądził w dwóch kadencjach, zimą w Piotrkowie i latem w Lublinie. Trybunał w Piotrkowie sądził sprawy Województwa Poznańskiego, Kaliskiego, Sieradzkiego, Łęczyckiego, Przyskiego, Inowrocławskiego, Mazowieckiego, Rawskiego, Płockiego, Ziemi Wieluńskiej i Dobrzyńskiej. W następnych latach do Trybunału Piotrkowskiego przystąpiła szlachta pruska z woj. Pomorskiego, Chełmińskiego, Malborskiego oraz Księstwo Warmińskie.

Sądy Trybunałskie odbywały się z wielką powagą i dostojnością. Rozpoczęcie i zakończenie kadencji poprzedzane były uroczystymi ceremoniami. Dokładne opisy życia Trybunału Piotrkowskiego podaje w swoich pamiętnikach Ks. Kitowicz.

Sądy Trybunałskie odbywały się w gmachu ratuszowym wybudowanym w Rynku. Był to budynek piętrowy z pięknymi rzezbami renesansowymi obramowań drzwi i okien, z pomieszczeniem dla załogi wojskowej oraz przylegającą wieżą wybudowaną w roku 1611 z przeznaczeniem na więzienie.

Piękny ten zabytkowy budynek został z polecenia carskiego okupanta rozebrany w drugiej połowie XIX wieku.

FOTOGRAFOWAŁ ZBIGNIEW GUCWA

ZAGROŻONA CERKIEW

U podnóża górskiego stoku Żukowo ciągną się wzdłuż drogi zabudowania wsi Równia. Dzieje tej górskiej wioski, zwanej niegdyś Rowień, sięgają czasów dość dawnych; na prawie wołoskim założona ona została jeszcze w 70 latach wieku XVI — jak większość osad leżących na pogórzu Bieszczad.

Pomiędzy zabudowaniami wioski płynie niewielki potok tej samej nazwy, wpadający kilka kilometrów dalej do Strwiąża. Potok ten łączy jakby w jedną całość rozrzucone domostwa i położoną z boku wsi, na niewielkim wzgórzu, w otoczeniu drzew drewnianą cerkiew.

Wzniesiona być może na początku wieku XVIII należy ona do ciekawszych przykładów budownictwa cerkiewnego na terenie Polski. Wprawdzie czas powstania cerkwi podawany jest na rok 1792, ale wydaje się, że data ta dotyczy raczej przeprowadzonego wówczas remontu.

Cerkiew jest orientowana. Zbudowana z dużych kłóców drewna układanych na zręb, składa się z trzech części: prezbiterium, nawy i babińca, przy którym od zachodu znajduje się później dostawiony przedsionek o konstrukcji słupowej. Zastosowany tu trójdzielny plan zgodny jest z tradycyjnym układem drewnianego budownictwa cerkiewnego. Silny

akcent plastyczny wydobyty został przez zróżnicowanie bryły. Nawa szersza i wyższa od prezbiterium i babińca posiada górną kondygnację ośmioboczną, dwudzielną, oddzieloną od dolnej daszeniem i przykrytą ośmiobocznym hełmem. Nad prezbiterium i babińcem górne kondygnacje są czworoboczne, przykryte czterospadowymi, jakby dzwonowatymi hełmami. Przykrycie każdej części oddzielnymi daszkami i kopułami jeszcze bardziej podkreśla trójdzielny układ budowli. Gontowe hełmy kopuł i płaszczyzny dachów oraz pobite gontem ściany dają bogate efekty światłocieniowe. Bryłę wzbogacają obiegające cerkiew dookoła soboty, wsparte na występujących belkach zrębu. Do wnętrza prowadzi jedno wejście przez umieszczone w babińcu odrzwia, ozdobione bardzo charakterystycznym ornamentem sznurowym i trzema rozetami. W drzwiach stary, XVIII-wieczny zamek i okucia. Wnętrze nieco zdewastowane posiada wystrój z XVIII wieku, ikonostas i trzy ołtarze. W jednym z nich ciekawy pod względem ikonograficznym obraz Matki Boskiej Dobrej Opieki osłaniającej swym płaszczem przedstawicieli wszystkich stanów. Babiniec przykryty stropem, w nawie kopuła, w prezbiterium pozorowane sklepienie zwierciadlane.

ziemia

MATERIAL PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

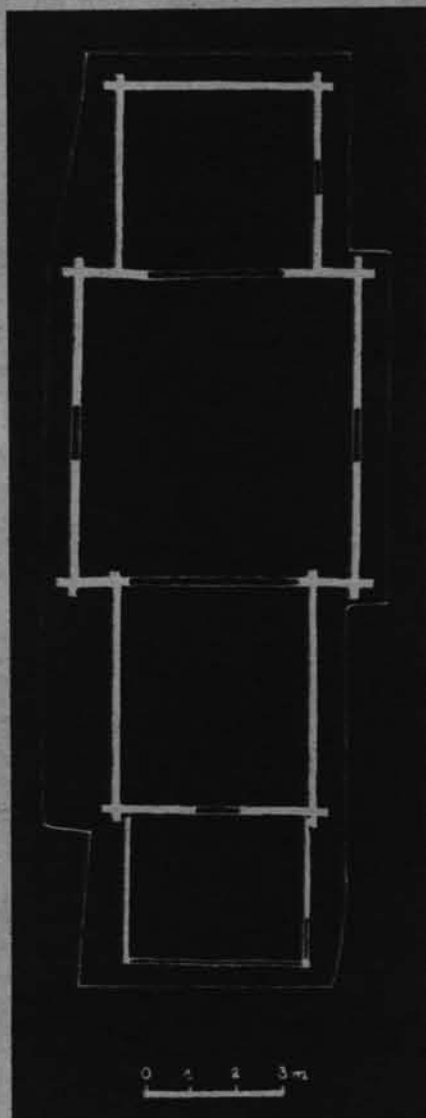
RYSZARD BRYKOWSKI



Po lewej: portal cerkwi w Równi. Poniżej: plan cerkwi. Rys. Maria Brykowska.

Oryginalne są schody prowadzące z babińca do umieszczonej nad nim dzwonnicy; wycięto je mianowicie z jednego pnia i również ozdobiono ornamentem sznurowym. Po prawej stronie portalu znajduje się drewniana tabliczka pokryta dawniej napisem w języku polskim, o dziewiętnastowiecznym liternictwie, dziś już niestety zupełnie nieczytelny.

Szczególna wartość cerkiewki w Równi, ze względu na jej architekturę jak i usytuowanie oraz wyposażenie, jest bezsporna. Tymczasem obiekt, od szeregu lat opuszczony, stopniowo niszczeje. Stan zachowania cerkwi jest groźny, lecz jeszcze dziś można ją uratować. Niepokojące jednak i dziwne jest stanowisko Wydziału Kultury PRN w Ustrzykach, które przez tyle lat nie potrafiło zabezpieczyć tego cennego zabytku.



A przecież Równia jest oddalona od miasta powiatowego tylko o niecałe 4 kilometry. Ustrzyki — to turystyczna baza wypadowa w Bieszczady, to końcowy etap licznych raidów górskich niezrządko z udziałem czechosłowackich i radzieckich turystów. Często spotkać można przy cerkwi ludzi z plecakiem, którzy „odkrywają” wciąż na nowo jej piękno.

Jeżeli obiekt nie może być dziś użytkowany zgodnie z pierwotnym swym przeznaczeniem, to wydaje się najsluszniesze, by, po przeprowadzeniu niezbędnych prac konserwatorskich, zorganizować w nim muzeum na wzór słynnego już dziś muzeum im. Orkana w kościółku w Rabce. Tu właśnie zarysowuje się pole działania dla wspomnianego wyżej Wydziału Kultury, dla opiekunów społecznych PTTK, słowem dla inicjatywy społecznej. Nie wszystko można zrzucić na Ministerstwo Kultury i Sztuki, nie wszystkiemu może poddać Wojewódzki Konserwator.

A może cerkiewką w Równi zainteresuje się kierownictwo Domu Kultury z powiatowego miasta Ustrzyki Dolne?

Oto fragmenty „Diariusza podróży do Polski wyjętego z pamiętników Jana Chrzyciela Faggioli”, tłumaczone w roku 1855 przez Władysława Kulczyckiego z „własnoręcznego rękopisu autora dotąd nie ogłoszonego drukiem”:

O PIJAKACH

„Kto pijany w tym kraju, posiada nieskończone przywileje”

O PUNKTUALNOŚCI

Nuncjusz miał wyznaczone spotkanie z królem: „miało ono nastąpić o jedenastej rano, tymczasem karetą królewską przyjechała o czwartej, co po naszymu znaczy cztery godziny po zadzwonieniu na Anioł Pański obiadowy: tak iż naczekaliśmy się srodze; ale w Polsce pięć godzin mniej lub więcej nic wcale nie znaczy”.

O ZWYCZAJACH

„W dzisiejszy dzień Wielkanocy jest starodawnym kraju tego zwyczajem, iż mężczyźni sprawiają tak zwany dyngus kobietom, skrapiając je wodą, a to się dzieje szczególnie między kochankami; na drugi dzień Wielkanocy białogłowy zwykli się odwodzić obryzgując mężczyzn, a taka wzajemna łaźnia przeciąga się aż do Zielonych Świąt”.

O KRAKOWIE

„...na wieczerzę przybyliśmy do stołecznego miasta Krakowa”. „Pomienione miasto jest nierównie piękniejsze, większe i warowniejsze od Warszawy; ma szanice, okopy i zwodzone mosty, a u bram jego są podwoje; podczas gdy w warszawskich załedwo masz zawiasy... Jest nadto wielki murowany pałac królewski i tutaj król powinienby mieszkać, ale terazniejszy nie chce o tym słyszeć, bowiem siedząc w Warszawie bliższym jest Rusi...”

O OBYCZAJACH

„Na rynku warszawskim ścięto kobietę, która otrula męża, by wyjść za innego ku większemu swemu zadowoleniu”.

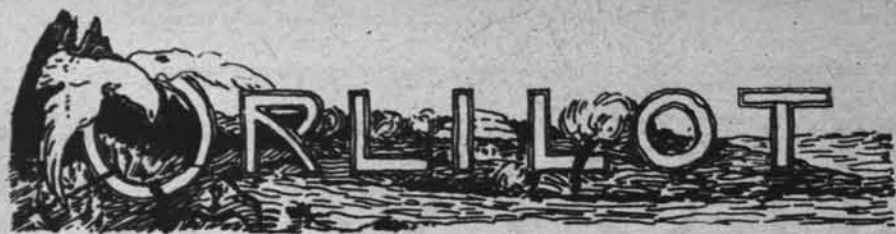
O GRANICY

„Po dwóch małych milkach dotarliśmy do miejsca zwanego Janów, gdzie jest staw czy kałuża, przez którą trzeba wbród się przeprawiać, co my i nasze wozy uczyniliśmy wspólnie, po czym stanęliśmy na obiad w Mysłowicach drewnianym mieście należącym już do cesarza, gdyż się Polska kończy u tej kałuży, przez którą przebrnęliśmy tak jak można było najlepiej”.



RYSOWAŁ
JANUSZ SMÓLSKI





DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW



Fot. Zb. Łagocki

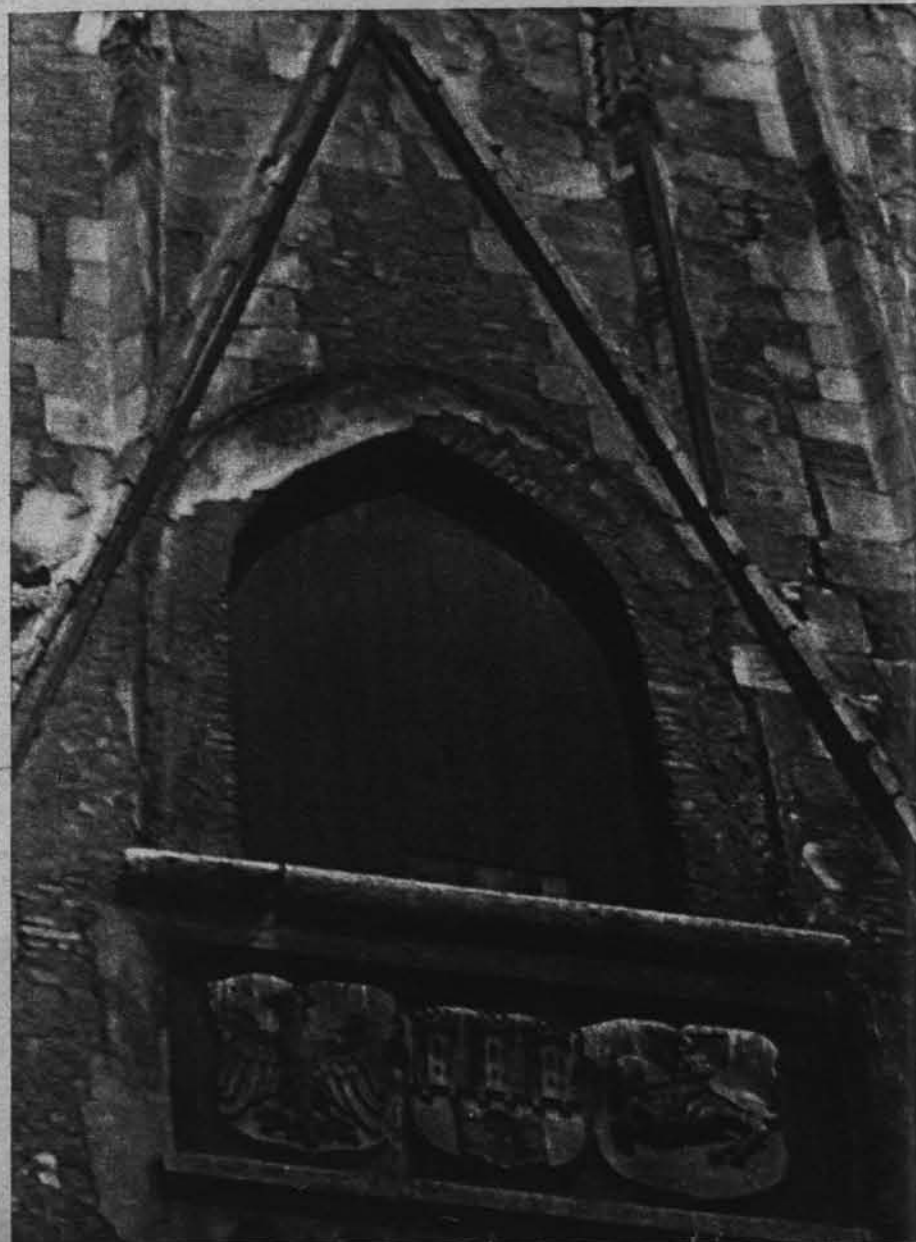
Czy zdaliście sobie kiedykolwiek sprawę z tego, jak słabo my, mieszkańcy wielkich miast znamy ulice, którymi od lat przechodzimy, nawet po kilka razy dziennie? Nie chodzi tu oczywiście o orientację w systemie ulic. Ale czy zwróciliście uwagę na fasady kamienic które mijacie? Ba! Czy potrafiliście podać jakieś bardziej charakterystyczne cechy fasady domu, w którym sami mieszkacie? Zaczęłoby się jak sądzę od wyliczania że „kamienica stoi na rogu” lub „naprzeciw kina”. I na tym chyba by się skończyło. Bo nowoczesny mieszkaniec wielkiego miasta biegąc truchtem wązowymi ulic zna stojące przy nich domy tylko do wysokości wzroku. Wyżej nie patrzy. A gdyby od czasu do czasu uniósł nieco głowę, dostrzegłby sporo architektonicznych osobliwości, czasem pięknych i starożytnych, a niekiedy tylko dziwnych lub wręcz dziwacznych w swej brzydocie. Wszystkie one jednak świadczą o tym, że architekt umieszczając je na fasadzie, chciał przykuć naszą uwagę, chciał nam czymś

zaimponować, czymś się pochwalić. Tymczasem wszystko na próżno. Doremnie biedny budowniczy ozdobił swe kamienice wymyślnymi maskaronami. Na próżno kazał muskularnym starcom dźwigać ciężkie, ozdobne kute balkony. Próżno piętrzy się gzyms na gzymsie. Wymyślne płaskorzeźby, pyzate amorki, wszystko to smętnie czernieje w wielkomiejskim dymie. Nikt na nie nie zwraca uwagi. Te, które podniesiono do rangi zabytkowych detali architektonicznych, znalazły się — przynajmniej częściowo, w albumach i naukowych katalogach. Od czasu do czasu odnawia się je nawet ze znacznym pietyzmem. Te zaś, którym zaszczyt sztuki i zabytkowości odmówiono, giną spokojnie, łuszcząc się na deszczu i mrozie.

Ale zarówno tych zabytkowych jak i tych wzgardzonych nie dostrzega nigdy przeciętny mieszkaniec miasta, mimo że to właśnie o jego codzienny podziw zabiegali stawiający tu kamienice architekci. (!)



GŁOWA DO GÓRY!

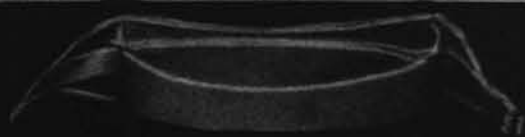
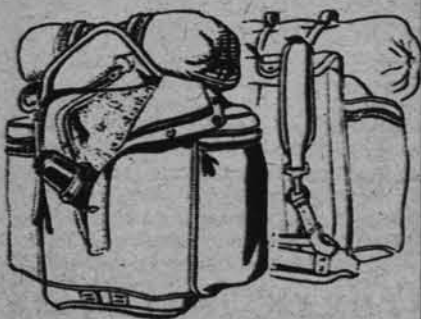




FOTOGRAFOWAŁ
WOJCIECH PLEWIŃSKI

PLECAKI • OPRACOWAŁA MARIA LECHOWSKA • PLECAKI

Z początku symbolem turystyki była laska, peleryna i podkute buty. Dziś tym symbolem jest plecak. Warto wspomnieć, że plecak posiada sięgającą zamierzchłych czasów historię. Zanim wszelakiego rodzaju torby, wykonane z różnych materiałów i surowców, służące pierwotnym ludom koczowniczym do przenoszenia swojego dobytku z miejsca na miejsce, stały się wygodnym, współczesnym plecakiem — minęły wieki. Dziś, plecak w ekwipunku turystycznym spełnia rolę nieodzownego sprzętu. Jest on dla turysty szafą, spiżarnią ba, nawet i poduszką. W zależności od turystyki, którą uprawiamy mamy plecaki rozmaitych kształtów i rodzajów.



Dla turystów-narciarzy wyprodukowała francuska firma „Boucherat-Sport” — małą torbę umocowywaną w pasie oraz plecak z podłużną kieszenią zapinaną na zamek błyskawiczny.

Plecak francuskiej firmy Andre Jamet — podwójnie zamykany wzdłuż na guziki i zamek błyskawiczny. Podobnie i kieszenie plecaka zamykane są na zamki.

Nowość w tej dziedzinie sprzętu turystycznego stanowi plecak produkcji norweskiej firmy Bergans, którego punkty ciężkości umiejscowione są w górnej części. Plecak tak skonstruowany opiera się sielbieniem na biodrach, nie „ciągnie” ku dołowi garbiąc turystę, ale nadaje jego sylwetce wypięsławioną i swobodną postawę.



Wszystkie powyżej omawiane plecaki są wykonane z impregnowanego nieprzemakalnego materiału, oraz posiadają „stelaże” z lekkiego metalu.



Inny jest plecak wspinaczkowy. Z uwagi na okoliczności w jakich się go używa wykonano go z wyjątkowo mocnego materiału, a dno wykończono trwałą, półmlekką, lekką skórą. Na zewnątrz znajdują się paski służące do umocowania czekana oraz raków. Linę wkłada się do środka, albo przytrzymuje u góry plecaka.





Fot. Zbigniew Gucwa

RECENZJE

PRZYSZŁOŚĆ KRAJOBRAZU



Fot. W. Plewiński

Pożyteczne jest czasem nie tylko przeglądać, ale i czytać czasopisma zagraniczne. To, czego się z nich dowiadujemy, jest nieraz przeciwwagą dla płytkich zachwytów niektórych relacji wycieczkowych i zwraca uwagę na odwrotną stronę medalu tego, co ludzie powierzchowni skłonni są uważać za pożądany i chwalebny rozwój techniki, produkcji i gospodarki.

I tak w tegorocznym, kwietniowym zeszytach londyńskiego miesięcznika „The Journal of the Royal Institute of British Architects” znajdujemy bardzo pouczającą recenzję książki Sylwii Crowe pt. „To morrows Landscape”, a więc „Krajobraz przyszłości”.

Książka jest poświęcona głównie rozpatrzeniu przyczyn powstawania zjawiska określanego w urbanistycznej literaturze angielskiej nazwą „subtopia”, polegającego na postępującym rozszerzaniu się wokół miast, wzdłuż ważniejszych szlaków komunikacyjnych, wzdłuż rzek i wybrzeży morskich obszarów mających charakter zaniedbanych przedmieść, fragmentarycznie rozplanowanych i haniebnie zabudowanych, poprzerzanych gliniankami, śmietnikami, usypiskami, poprzecinanych zanieczyszczonymi strugami i ściekami, mających charakter zdewastowanego chaosu, wśród którego życie staje się ponure i bezwartościowe.

Niewielu architektów, jak twierdzi recenzent za autorką, zajmuje się tym zagadnieniem. Architekt zajęty jest przeważnie wyłącznie swoim budynkiem, nie troszcząc się o jego otoczenie. Podobno każdy ceni „piękne położenie”, ale jak mało ludzi nawet fachowo wykształconych dba o to, żeby pięknie położoną działkę pozostawić po zejściu z budowy przynajmniej równie piękną jak ją zastali.

Pomijając wygląd samych budynków, często ohydny, jakżeż wygląda w planach sytuacyjnych opracowanie dróg dojazdowych i ścieżek pieszych, ogrodzeń, rowów, zadrzewień.

Jednakże — twierdzi recenzent — jeśli by nawet te wszystkie szczegóły były opracowane najstaranniej, to i tak nie miałobyśmy powodu do optymizmu. Wciąż bowiem w treści swojej książki autorka zmuszona jest podkreślać, że zagadnienie nie jest natury estetycznej, ale biologicznej. Jest po prostu zbyt wielu ludzi na zbyt małej przestrzeni.

Groźna treść tego zagadnienia występuje najwyraźniej, gdy obserwujemy ślady ludzkich stóp na powierzchni ziemi, zarówno w Narodowych Parkach Przyrody, jak i w parkach miejskich. Sama ilość tych, którzy szukają samotności w dzikiej przyrodzie, jest zdolna tę samotność zniszczyć.

Jakżeż szczęśliwa jest Szwecja dlatego, że jej zaludnienie jest niewielkie, a jej grunt skalisty. To jest podstawowa przyczyna, dla której szwedzkie osiedla mieszkaniowe zachwycają nas swoim usytuowaniem wśród tak pięknego otoczenia, co jest umożliwiające tylko brakiem nacisku ludnościowego.

A któryś architekt zwiedzający np. pustą, skaliste przestrzenie Hiszpanii, nie spostrzegł, że obszary te pomimo braku wszelkiego świadomego działania ludzkiego dają otoczenie bez porównania piękniejsze i bardziej sprzyjające wypoczynkowi niż nasze [tzn. angielskie].



Fot. M. Kuczyński



Fot. W. Plewiński



Fot. M. Kuczyński



Pewien sąsiad ze wsi... powróciwszy z Londynu, zniechęcony trudnościami komunikacyjnymi — wyraził się: „Jednej tylko rzeczy nam w Anglii nie brak — a to ludzi”.

Na tym recenzent, Herbert Tayler, kończy swoje rozważania.

„Subtopia” nie jest rzecz prosta zjawiskiem specyficznym tylko angielskim, ale dziś już coraz bardziej ogól-

noświatowym, i przynajmniej jego zaczątki zauważyć można już wszędzie, a jego objawy rozszerzają się w zastraszający sposób w miarę zagęszczania się ludności.

Podobnie i u nas. Dziś już mamy liczne obszary ulegające zdewastowaniu na skutek zatłoczenia i eks-

ploatowania, a nawet obszary opuszczone po ich doszczętnym zdewastowaniu. Wszędzie przyrodę, począwszy od lasów, wyzyskuje się powyżej zdolności jej regeneracji, i przez to oszpecona, ubożona, stopniowo zamieniana jest na pustkowia i śmietnik.

HENRYK JASIEŃSKI

Z podmuchem jesiennych wiatrów, przeminęły echa jubileuszowych uroczystości sławnego grodu Kingi, jak dawniej z emfazą nazywano Stary Sącz. Miejscowe Towarzystwo Miłośników Miasta zabierało się do tego jubileuszu od jesieni ubiegłego roku, odkąd niżej podpisany zwrócił przewodniczącemu i zarządowi uwagę na zbliżającą się sześćsetną rocznicę nadania miastu organizacji miejskiej w postaci prawa magdeburskiego. Rocznicą przypadła 28 kwietnia, jednakże przesuwano ją parę razy z różnych powodów. Az przyszły wakacje i miasto zaroilo się od przyjezdnych rodaków pracujących poza rodzinnym Starym Sączem. Wielkie zebranie wyłoniło dwa Komitety: wykonawczy i honorowy. Ustalono nowy termin 17 i 18 sierpnia. W miejsce początkowego proponowanego skromnego programu przyjęto szeroki, z propagandą. Popelniono przy tym wiele błędów kompromitujących i ośmieszających w oczach tych, którzy coś nie coś znają historii, a szczególnie samego Jubilata. Tą drogą jubileusz 600-lecia zmieniony został na fantastyczny „700-lecia lokacji”, z czego drukarnia zrobiła humorystyczną „lokalizację”, a czego w korekcie nie sprostowano. I stąd poszły w ten sposób „dymy po całej literaturze” tej imprezy niecodziennej. Rozdmuchana propaganda rozniosła ową „700-letnią lokalizację” po wszystkich piśmiech. Domyślni jeno zamienili ją na lokację. Na drukach okolicznościowych i winietkach pozostała ta humorystyka, a jej wynalazca chcąc uzasadnić 700-lecie, roztrząbił, że chodziło o najdawniejszą datę w historii miasta. Tymczasem przywilej z 1257 r. nadający Kindze Ziemię Sądecką ani słowem nie wspomina o osadzie sądeckiej. Ale któryż dziennikarz czuł potrzebę i ochotę zagładnięcia do Kodeksu dyplomatycznego Małopolski? Fałsz 700-lecia zaraził zwłaszcza starsządecczan, którym to zaimponowało.

Mniejsza o nieścisłości jak data XI w. dla kościółka św. Rocha zamiast wieku XVI itp., ale skąd J. Bober (Gazeta Krak. nr 194) wziął wiadomość o fundamentach murów warownych? Miasto nigdy nie było warownią! Mynie zwie przy okazji historyka L. Kubalę starsządecczaninem. Podobnych zresztą pomyłek jest tam więcej.

Felieton J. Roszki, innego dziennikarza z Dziennika Polskiego również roi się od błędów. Oto kilka z nich. A więc Bolesław Wstydlivy „podpisał akt lokacji”. Ani on, ani nikt inny; nie znamy takiego aktu. Dalej błędna data 1260 założenia obu klasztorów i powtórzenie teorii Brücknera o powstaniu tutaj pieśni Bogurodzica, zarzuconej przez tego uczonego pod koniec życia. Opowieść o spotkaniu Sobieskich w karczmie „Poczekaj” podano jako fakt historyczny, gdy w rzeczywistości jest to tylko legenda. Równie fantastyczna jest wieść, że dwór, w którym się zatrzymali, stał na miejscu zamku królewskiego. Dwór ten zburzyli Austriacy, a dziś stoi tam Zarząd Leśny. Twierdzenie, że Rada Miejska „w dawnych wiekach” była konserwatywna jest nieporozumieniem zgoła, bo wiadomo, że instytucję tę wprowadziła dopiero Austria w 1867 r. Budzi poważne zastrzeżenia i „strój średniowieczny” herolda, co być może zapowiadał rozpoczęcie i koniec uroczystości. Kiepski rachmistrz wyliczył że klasztor stoi już 699 lat, „równie stary jak i miasto”, bo w istocie stoi on od 1280 r. W opisie o przebiegu uroczystości tenże autor pisze o rzekomych „strojach opoczyńskich i szczawnickich”, w które odziane były delegacje miast polskich z wyjątkiem Żywczanek. Nie mówiąc już o przekręcaniu imion i nazwisk uczestników uroczystości.

Jest to tylko zestaw najważniejszych omyłek, jakie dostały się na łamy prasy krakowskiej, śląskiej i warszawskiej. Błędów nie uniknęła i wydana przez Komitet Organizacyjny broszura „Z dziejów Starego Sącza”. Przyczyną tego wszystkiego jest brak naukowego opracowania historii tego miasta. Nie może się doczekać druku.

Widzimy z przykładu jubileuszu Starego Sącza, że przy tego rodzaju okazjach redakcje powinny wysyłać sprawozdawców bardziej obeznanych z historią regionu, gdyż omyłki i przeinaczenia ich felietonów trudno będzie później wykorzystać.

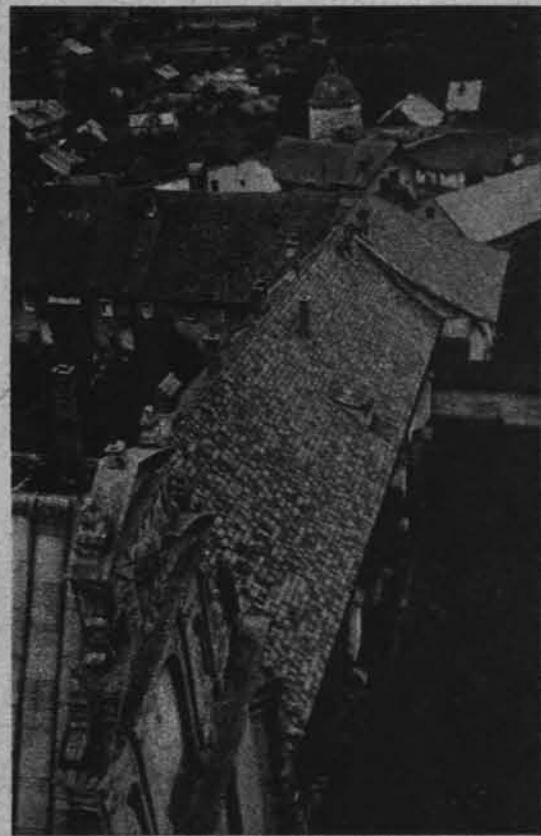
WIKTOR BAZIELICH



600 CZY 700 ?



Fot. St. Deptu-
szewski, M. Kor-
necki, W. To-
maszkiewicz.



RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE

POLISH FOLKLORE

„One night, long ago, the father of Wojciech Szymanek, who owned the Seven Apple Trees, was riding home to Baranów from an evening spent with his sweetheart over in Lublin region...”

Dziwnie trochę wyglądają te bezbłędnie wypisane polskie nazwy w angielskim kontekście. Nie jest to jednak urywek z jakiegoś krajowego wydawnictwa przeznaczonego dla zagranicznego czytelnika. Przytoczony tu fragment pochodzi z amerykańskiego kwartalnika „Polish Folklore” ukazującego się w języku angielskim w USA. Pismo to wydawane jest przy Alliance College w miejscowości Cambridge Springs (Pensylwania).

Redaguje je grupa Amerykanek w większości zresztą (o czym świadczą nazwiska) polskiego pochodzenia. Na czele zespołu redakcyjnego stoi pani Marion Moore Coleman. Na treść „Polish Folklore” składają się polskie legendy i wierzenia, przysłowia i opisy obyczajów ludowych, jakie dziś jeszcze żyją we wspomnieniach naszych emigrantów w Stanach Zjednoczonych. I tak np. ów podany na początku urywek angielskiego tekstu pochodzi z legendy o siedmiu czarodziejskich jabłoniach, rosnących ongiś w sadzie Wojciecha Szymanka w Baranowie. Opowiedziała ją autorka artykułu p. Zofia Szymanek-Kuzmirek, zamieszkała obecnie w Youngstown, w stanie Ohio. Materiał na temat podhalańskiego zielarstwa ludowego zebrała Marion M. Coleman w jednym z nowoangiel-

skich miasteczek, u starej emigrantki spod Łącka. Podanie o kościele w Wachu na Kurpiach opowiedziała Franciszka Kulikowska z New Brighton w Pensylwanii itd.

O tym że nie tylko z relacji polskich przybyszów korzysta redakcja „Polish Folklore” świadczy artykuł „Mitologiczne elementy w kulturze polskiej”, w którym cytowane są również przykłady z klasyków literatury polskiej XIX wieku. Także i z literatury staropolskiej czerpie redakcja kwartalnika sporo materiałów folklorystycznych.

Ciekawe, że — podobnie jak dawna „Wisła” — „Polish Folklore” prowadzi dział „poszukiwań”. Np. w tegorocznym wrześniowym numerze redakcja apeluje do czytelników o nadysłanie materiałów na temat wierzeń

ludu polskiego związanych ze zjawiskiem zorzy polarnej.

Na koniec rzecz — jak sądzę — warta zastanowienia. Oto tu, przybyli do Stanów z rozmaitych okolic kraju, publikują przywiezione z ojczystej wsi czy miasteczka legendy. Czy jednak owe legendy żyją jeszcze w tych miejscowościach skąd wyemigrowali do Ameryki opowiadający je Polacy? Czy w małej lubelskiej osadzie Baranów pamięta jeszcze ktoś opowieść o zaczarowanych jabłoniach i widmie małego chłopca, straszącym nocą nad Wieprzem? Czy w kurpiowskim Wachu żyje jeszcze legenda o anielskim i diabelskim oku? A może są to podania dawno już zapomniane w tych osadach, istniejące do dziś jedynie we wspomnieniach polskich emigrantów na drugiej półkuli? (L)

Polscy grotolazi mają wielu znanych i przyjaciół wśród badaczy jaskiń na całym świecie. Nie dawno pisaliśmy o międzynarodowym obozie speleologicznym jaki odbył się w Polsce. Niestety goście zza Oceanu nie zdolali wówczas przyjechać, ale kontakt korespondencyjny z naszymi grotolazami jest wciąż żywy. Oto co dowiedzieliśmy się z listów:

PODZIEMIA

TROPIKALNEJ PUSZCZY

Wapienną skalę kryje gruba warstwa humusu. Z niej to wyrasta pełna oszalamiającego przepychu płatanina roślin, wenezuelska dżungla tropikalna. Zwarty zielony gęszcz osłaniający szalenie rozległe polacie kraju. Korzenie kilkudziesięciometrowych olbrzymów leśnych przebijają warstwę gleby, dochodząc do skał. Siegają coraz głębiej. W poszukiwaniu wody przenikają szczelinami spękanej skały. Rozsadzają sklepienia grot. Spływają coraz niżej. Tam, gdzie w mrocznych, wapiennych korytarzach i kanionach huczą podziemne rzeki.

Pod pulsującą życiem gęstwiną dżungli rozciąga się kraina wiecznej, czarnej jak atrament nocy, panującej wśród oślizgłych, pokrytych naciekami ścian. Kraj olbrzymich jadowitych pajaków i przedziwnych ptaków, które potrafią bez trudu poruszać się w absolutnej czerni. Kraj bezimiennych potoków wypływających i niknących gdzieś pod ziemią. Kraj pokracznych, glinianych bożków porzuconych tu przez wymarłych dawno tubylców.

Kiedy czytamy o wyprawach europejskich grotolazów, działających w Pirenejach, Masywie Centralnym, Bałkanie, lub naszych Tatrach, pojęcie obszaru krasowego, wapiennego, łączy się dla nas z wizją mniej lub bardziej pozbawionych roślinności pustkowi. Jakże inaczej przedstawia się sytuacja na obszarach krasowych Ameryki Południowej, porośniętych dziewiczą puszcza! Tu już samo wyszukanie otworów jaskiń, ukrytych w gęstwie pierwotnego lasu uzależnia eksploratora w dużej mierze od szczęśliwego przypadku. A kiedy nawet w wyniku mozolnych badań rekonesansowych grotła wreszcie zostanie zlokalizowana, wówczas badanie jej wymaga całej kosztownej i niebezpiecznej ekspedycji. Posłuchajmy zresztą co mówią o tym wenezuelscy grotolazi:

„Obszar, w którym znajdują się nasze największe jaskinie, to górzysta kraina wznosząca się stopniowo od wybrzeża morskich. Porasta ją dżungla, parna i wilgotna. W czasie upału temperatura w cieniu dochodzi tu do 30 stopni C. Gdy słupek rtęci opada do 19, mówimy, iż „zrobiło się naprawdę zimno”. Jaskinie, które badamy, odległe są od ostatnich osiedli cywilizowanego człowieka o co najmniej 4–6 godzin forsownego marszu leśnymi bezdrożami. Transport bagażu liczącego łącznie od 250 do 300 kg odbywa się na osłach. Dbamy o nie niezwykle troskliwie. Jeżeli bowiem zwierzę padnie nam w dżungli, całą przypadającą nań górę ładunku musimy nieść na własnych barkach w tym tropikalnym skwarze. Toteż prawdziwą plagą naszych obozowisk w dżungli są wampiry. Noc w noc atakują one zaciekłe osły, obsiadając je całymi stadami. Bywa, że w ciągu niespełna trzech dni biedne zwierzęta zdychają z wyczerpania. O zmroku wokół obozu zaczynają krążyć jaguary. W czasie ostatniej wyprawy dostrzegliśmy w odległych o 50 metrów zaroślach bestie sięgające chyba 150 kg wagi! Jak dotychczas nie zaatakowały nas nigdy. Najgorsze jednak są węże — jadowite grzechotniki, koralowce, „ler-de-lace” i boa. Dżungla roi się od nich. Początkowo robiły na nas niemałe wrażenie. Ale po pewnym czasie przywykliśmy i do nich...”

Nic więc dziwnego, że jaskinie Wenezueli przez długi czas pozostawały nieznane. O większości z nich wiedziały tylko dzikie leśne szczepy indiańskie wenezuelskiego „interioru”. Pierwsze badania speleologiczne w tym kraju prowadził znany niemiecki podróżnik i uczynek, Aleksander von Humboldt. On to już w roku 1799 zapuścił się na pół kilometra w głąb grotu Guácharo w poszukiwaniu jaskiniowych ptaków o tej samej nazwie. Niezwykle te stworzenia latają w absolutnych ciemnościach z równą swobodą jak nieto-

Ptaka jaskiniowego guácharo to emblemat wenezuelskich grotolazów należących do Sekcji Speleologicznej Wenezuelskiego Towarzystwa Nauk Przyrodniczych.

„Wieża” — słup naciekowy w jaskini Alfonso, w rejonie Caripe, wschodnia Wenezuela. Wys. ok. 6 m.



perze. Podobnie bowiem jak one, ptaki guácharo posiadają zdolność odbierania w czasie lotu fal głosowych, odbijających się od sklepienia i ścian groty. Siedzibą guácharo jest główny korytarz groty, długi na 819 m, a szeroki na 30. Wśród półek i załamów skalnych roi się od ptactwa. W gniazdach siedzą tłuste pisklęta. Dorosłe guácharo (mniej więcej wielkości naszych kur) wylatują nocą na żer w głąb dżungli. Rok w rok ciągnęły do jaskini tłumy okolicznych Indian urządzając „ptasie żniwa”. Mordowano wtedy setki piskląt zbierając ich tłuszcz do wielkich glinianych dzbanów. Dopiero w roku 1949 ustawa rządu wenezuelskiego zabroniła tych praktyk, włączając groty Guácharo w obręb parku narodowego im. Humboldta.

W ciągu XIX wieku z rzadka odwiedzano wenezuelskie groty. Interesowało się nimi paru europejskich i północnoamerykańskich uczonych. Działali oni zresztą zaledwie w paru jaskiniach i to tylko w ich wstępnych partiach. Toteż kiedy w roku 1952 powstała sekcja speleologiczna przy Wenezuelskim Towarzystwie Nauk Przyrodniczych, w Caracas wiedzano zaledwie o 40 grotach istniejących na terenie tego rozległego kraju. Na czele sekcji stanął młody prawnik, Eugenio de Bellard Pietri. Wraz z trzema przyjaciółmi, Juanem Antonio Tronchoni, Robertem Contre-rasem i Edwardem Schlageter Boul-tonem rozpoczął żmudną lokalizację i eksplorację grot Wenezueli. Do pomocy mieli zaledwie trzech tragarzy. Ekspedycje nieraz trzeba było finansować z własnych oszczędności. Z tychże oszczędności zakupiono terenowy „jeep”. Szczęściem dla wenezuelskich grotolazów niejednokrotnie poparcia pieniężnego udzielały im towarzystwa naftowe.

Obszary krasowe Wenezueli dzielą się na 3 strefy: wschodnią, wokół miasta Caripe, środkową, ciągnącą się wzdłuż wybrzeży (właśnie tu leży Caracas) i zachodnią, ciągnącą się od nadmorskiego Coro aż pod kolumbijską granicę.

Systematyczna praca garstki krajoznawców zaczęła dawać rezultaty. Okazało się, że już góry otaczające Caracas kryją w sobie przeszło 80 jaskiń różnej wielkości, w tym i głębokie na 80 metrów aweny. Potem zaczęto badać wielkie jaskinie położone w bardziej odległych częściach kraju. I tak w zwiedzanej już przeszło 150 lat temu jaskini Guácharo (wschodnia strefa krasowa) przebadano 3 km korytarzy głównego ciągu, w ogóle nie zapuszczając się w kilkanaście bocznych odgałęzień. Podobnie spenetrowano na przestrzeni jednego kilometra groty Cajigal i półkilometrową Cruxent. W tej ostatniej na głębokości 115 m od otworu znaleziono serię małych glinianych idoli. Kto i kiedy wyrzeźbił te figurki? Po co wnosił je do ukrytej w dżungli groty? Wykonały je ponoć jakieś żyjące tu w czasach przedkolumbijskich indiańskie ludy. Posążki charakterem swym żywo przypominają gliniane figurki kultowe znajdowane w europejskich osadach neolitycznych.

Największą ze znanych grot wenezuelskich jest Alfredo Jahn położona w stanie Miranda, w środkowej strefie krasowej. Dnem jaskini płynie podziemna rzeka. Wody jej, podobnie jak w innych tropikalnych grotach, są w porównaniu z potokami naszych obszarów krasowych niezwykle ciepłe. Temperatura ich wynosi + 21 stopni! Toteż podziemne rozlewiska przebywa się tu w bród w strojach kąpielowych, bacznie jednak zważając na pływające w wodzie olbrzymie raki „szczypiące doprawdy bardzo boleśnie”. Dopiero kiedy na powierzchni spadnie potężna, tropikalna ulewa, sytuacja w Alfredo Jahn staje się poważna. Rzeka gwałtownie wzbiera. Szumiąc wypełnia korytarze sięgając coraz wyżej...

I jeszcze jednego odkrycia dokonali ci czterej Wenezuelczycy w jaskiniach dżungli. Skutków jego doświadczyli na własnej skórze. Oto w niektórych grotach tego kraju żyją zarazki niebezpiecznej, a czasem nawet śmiertelnej choroby *histoplazmosis*. Człowiek, który zapadł na nią ma

wysoką, dochodzącą do 42 stopni gorączkę i zdradza objawy jak gdyby ciężkiej gruźlicy płuc. Co gorsza, wobec zarazki *histoplazmosis* bezsilne są podobno wszystkie nowoczesne antybiotyki. Dopiero po 50 dniach choroby, acz wyczerpany, przychodzi do siebie.

W miarę dokonywanych wypraw rosło doświadczenie speleologów w Caracas. Rosła też ich sława. Niepełna trzydziestoletni de Bellard Pietri na międzynarodowym kongresie speleologicznym w Europie reprezentuje grotolazów obu Ameryk i bierze udział w wyprawach do jaskiń francuskich. A równocześnie jego sekcja speleologiczna już rok temu może się poszczycić — po 4 latach istnienia — lokalizacją 396 grot, przynajmniej ogólnym przebadaniem 84 i szeregiem wydawnictw naukowych na temat fauny jaskiń i zjawisk krasowych tego kraju. A cały ten trud jest dziełem czterech amatorów, którzy swą działalność odkrywczą potraktowali jako doskonałą rozrywkę i którzy odnaleźli przysgodę w mrokach tropikalnego podziemia. (L. Z.)

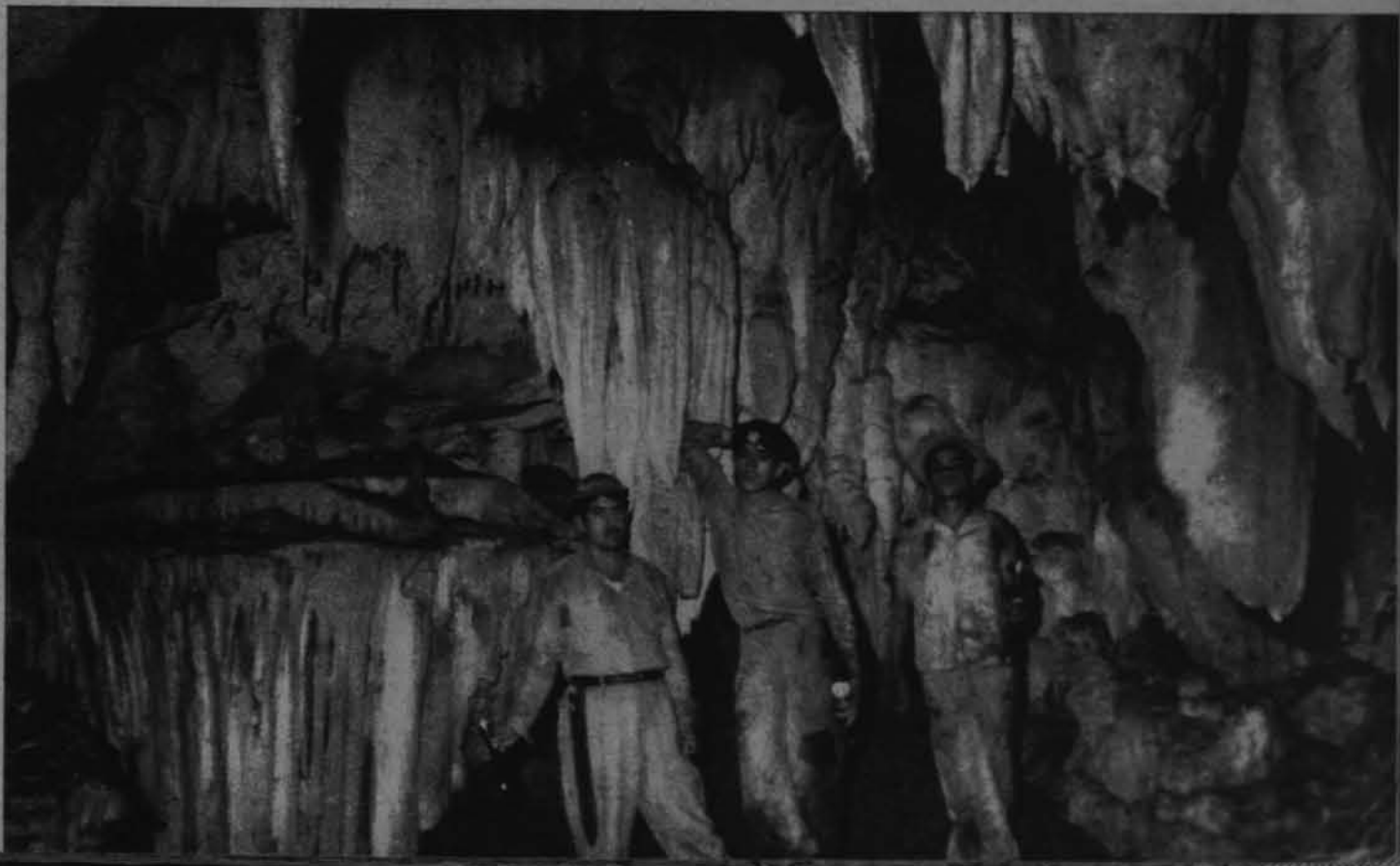


Korzenie drzew przenikają szczelinami w głąb skały i dostają się do sali i korytarzy jaskiniowych tworząc drugą, podziemną dżunglę.

Bujna tropikalna dżungla porasta wapienne obszary Wenezueli

Indiańskie idole znalezione w odległości 115 m od otworu w jaskini Cruxent w zachodniej Wenezueli.

Wenezuelacy grotolazi w jaskini La Guanota, w komorze z pięknymi naciekami.



FINLANDIA

Pierwszą wyższą uczelnię w Finlandii założył Szwed. Był nim Per Brahe, gubernator króla szwedzkiego w tym kraju. Utworzona w 1640 r. Akademia Turku istniała tam aż do roku 1825, to jest do momentu kiedy miasto Turku spłonęło. Po tym wiel-

kim pożarze akademię przeniesiono do nowej stolicy — Helsinek. (D)

BRAZYLIA

„Carioca” to nie tylko nazwa popularnego tańca. Tym mianem również określa się każdego rodowitego mieszkańca Rio de Janeiro. Sam wyraz „carioca” jest ponoć indiańskiego po-

chodzenia i oznaczał ongiś w języku tubylców „dom białego człowieka”.

HOLANDIA

Gdy mówi się o Holandii, obcokrajowiec ma przed oczyma małe kręte uliczki, fasady wąskich domów, łódki w porcie o zachodzie słońca, wiatraki na płaskich obszarach rolniczych, bu-

fiaste spódnice i czepeczki z koronek dziewcząt holenderskich. Ludność Holandii do dzisiejszego dnia nosi stroje ludowe, lecz nie po to by wywołać efekt i zainteresowanie wśród tak częstych w tym kraju turystów. Przeciwnie, niektóre miasteczka znane są z tego, że wystarczy by pojawił się fotograf aby mieszkańcy ubrani w ludowe stroje kryli się do swych domostw. (AP)



MUZEUM BRONI

W obronnej brukselskiej wieży Porte du Hal, zbudowanej w 1880 r. połączono królewskie muzeum zbroi i broni z muzeum historii wojskowej. Ekspozycje zajmują dwa piętra. Na parterze umieszczono sprzęt artyleryjski od pierwotnych moździerzy do pięknie rytych XVIII-wiecznych armat. U wejścia do klatki schodowej znajdują się używane niegdyś narzędzia tortur. A obok nich 2 maski o długich językach w które ubierano i wystawiano na pośmiewisko oszczerców i plotkarzy.

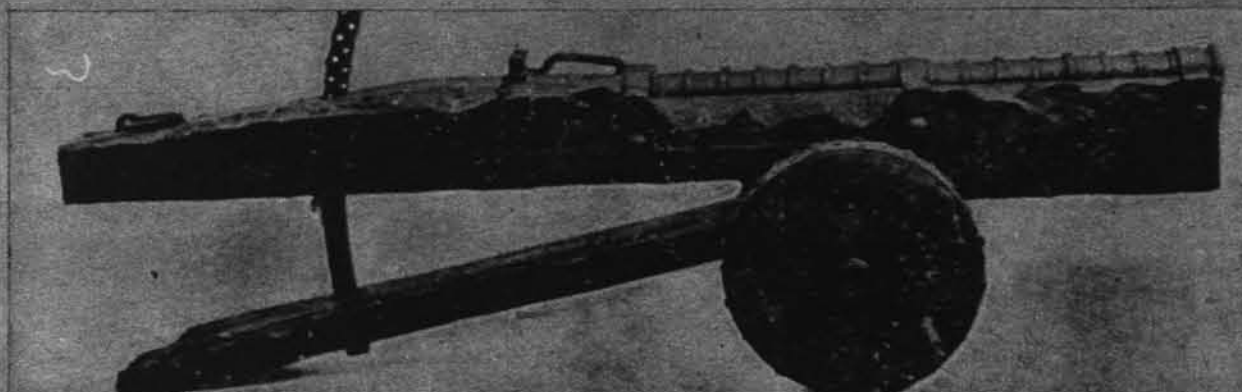
BRUKSELA • BRUKSELA • BRUKSELA



W gotyckiej sali I piętra umieszczono przedhistoryczną broń i antyczne helmy a dalej przedstawiono całą historię broni odpornej: średniowieczne skórzane tuniki naszywane żelaznymi kółkami i blaszkami zastąpione wkrótce lżejszymi od nich kolczugami. Obok kompletny strój rycerza — plecionka z ok. 200 tysięcy metalowych kółek ręcznie spawanych. Strój taki stanowił na owe czasy nie lada fortunę. W XIV w. kolczugi wzmacnia się już płytami z żelaza i skóry by dojść w końcu do jednolitej kutej zbroi. Pierwsze tzw. gotyckie zbroje są dziś unikatami. Jedną z nich, prawie kompletną, posiada Bruksela. Z końcem XV w. pojawiają się 2 różne typy zbroi: lekka bojowa o wadze ok. 20 kg — gdyż na placu walki potrzebna była rycerzowi swoboda ruchów — i ciężka turniejowa, ważąca ok. 40 kg — przystosowana do walki w małej przestrzeni.

Okolo 1500 r. używa się doskonałych (jak na owe czasy) i pięknie zdobionych „zbroi maksymilianskich”, wywodzących swą nazwę od cesarza Maksymiliana. Obok nich podziw wzbudza wystawiony nagolennik ogromnych rozmiarów. Czyżby należał do olbrzyma? Nie, to część zbroi konia cesarza Maksymiliana. Pomyśl ten nie znalazł nigdy praktycznego zastosowania i dziś stanowi muzealną ciekawostkę.

Od chwili wynalezienia broni palnej zbroje kuje się coraz masywniejsze. Z czasem jednak waga ich zaczyna być zbyt uciążliwa dla rycerza i konia. Powstaje konieczność wyeliminowania pewnych części uzbrojenia. W Wojnie Trzydziestoletniej noszono już tylko helmy i pancerze. Jeden z takich kompletów z czasów Trzydziestoletniej Wojny wystawiony w muzeum miał rzekomo należeć do poległego w Niemczech króla szwedzkiego Gustawa Adolfa. (AP)



NORWEGIA • NORWEGIA • NORWEGIA

Norweski port Tromsø, na dalekiej północy za kręgiem polarnym. Miasteczko liczące 11 tysięcy mieszkańców rozłożyło się na podłużnej wysepce w środku fiordu.

Wahania poziomu morza Norweskiego, przy odpływach i przyptywach, są dość znaczne. Dochodzą do półtora metra. Stąd budynki położone blisko wybrzeża stawiane są na palach.

Tromsø jest przede wszystkim bazą dla rybolówstwa morskiego. Na bogate łowiska północnych mórz wyruszają stąd wielkie statki wielorybiczne i dziesiątki małych kutrów.



OSKAROWI KOLBERGOWI



Juliusz Kolberg urodził się w Meklemburgii. Był Niemcem, dyplom inżyniera geografa zdobył w Berlinie. W r. 1808 wszedł w służbę Księstwa Warszawskiego i stała się rzecz dość zwyczajna w dziejach naszej kultury: Niemiec utonął w polskość. Został profesorem topografii na Uniwersytecie Warszawskim i członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk; opracował i wydał „Kartę Poczтовую i Podróżną Królestwa Polskiego i W. Ks. Poznańskiego”, a „Atlas 8 Województw” i „Kartę Królestwa Polskiego” — nowe wydanie w ośmiu sekcjach, przygotowane przezeń — wydano już po jego śmierci. Obwołano go — i słusznie — czołowym kartografem polskim z okresu Królestwa Kongresowego.

Pozostawił trzech synów: Antoni Kolberg został malarzem, Wilhelm — w 1831 oficer korpusu inżynierii Wojska Polskiego — wykończył i wydał dzieło ojca i prowadził własne badania hydrograficzno-inżynieryjne, zaś Oskar...

Oskar Kolberg studiował muzykę, a został urzędnikiem naprzód w zarządzie kolei warszawsko-wiedeńskiej, potem w Komisji Skarbu Królestwa Polskiego. Był entuzjastą polskiej kultury ludowej i w chwilach wolnych od zajęć zarobkowych zdążył zostać ojcem polskiej etnografii.

A zaczęło się od muzyki. Wędrował po kraju, zbierał pieśni ludowe, skrzętnie notując teksty i melodie. Zebrał ich tyle, że w 1842 i 1857 mógł wydać drukiem „Pieśni ludu polskiego”. Ale nawiązany kontakt wciągnął go głębiej, niż on sam mógł pierwotnie przypuszczać: Kolberg zainteresował się obyczajowością polskiej wsi, jej folklorem. Wędrował dalej po kraju — niestrudzenie, z marniackim uporem, jak urzędnik. I oto w 1865 Oskar Kolberg inicjuje dzieło swojego życia: serię wydawnictw i studiów, objętych wspólnym tytułem „Lud, jego zwyczaje, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”. A więc coś w typie pierwszej polskiej encyklopedii ludoznawczej.

Przedsięwzięcie było olbrzymie — i tajemnicą tego wiecznie ubożego, mroźczo pracowitego i pełnego entuzjazmu człowieka pozostanie, w jaki sposób zdołał opracować i wydać za życia dwadzieścia trzy tomy swojej serii, publikując ponadto studia specjalne. I pozostawiając po swojej śmierci mnóstwo rękopisów, z których późniejsi wydawcy wykoili szesnaście tomów dodatkowych, pozostawiając jeszcze nieopracowane i niewydane do dziś materiały dotyczące Kaszub, Mazurów Pruskich, Su-

walszczyzny, Białostockiego, Podhala i Śląska.

Oskar Kolberg nie potrzebuje pomnika. Wystawił go sobie sam; te 39 tomów poświęconych polskiemu ludoznawstwu — starczy aż nadto. Żaden brąz nie pochwali lepiej pasji, uporu, pracowitości i — nie wstydzmy się tego powiedzieć — miłości dla nowej ojczyzny jego ojca.

Wszystko to należało przypomnieć, by móc przejść z kolei do refleksji współczesnych.

Kolbergowska seria w przeważającej swej części ma dziś wartość jedynego i niezastąpionego źródła. Jest ona „białym krukiem” bibliotecznym, cenionym na wagę złota, za granicą prawie zupełnie nieznanym. Cóż słusniejszego i prostszego, jak wydać ją powtórnie, zamiast polować w antykwariatach? Oddajmy głos prof. Józefowi Gajkowi, który w nrze 1/1957 czasopisma „Literatura Ludowa” (organ Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego) relacjonuje tok sprawy: W 1949 Polskie Towarzystwo Ludoznawcze przystąpiło do prac nad reedycją kolbergowskiego „Ludu”, wspomaganie opinią ośmiu najwybitniejszych uczonych polskich. W 1953 i 1954 zostały przygotowane plany wydawnicze, PAN je zaakceptowała, zaś wrocławskie Ossolineum podjęło się prac wykonawczych. Po czym w kwietniu 1955 to samo Ossolineum zawiadomiło o rozwiązaniu umów, zaś Sekretariat Wydziału I PAN powiadomił lakonicznie PTL, że „Wydział Nauk Społecznych PAN nie widzi możliwości rozpoczęcia prac nad reedycją dzieł O. Kolberga w najbliższej przyszłości”. Punktum.

Cóż, bardzo możliwe, że wieloosobowa armia naukowców, wspomaganą drugą armią urzędników — „nie widzi możliwości” przekalkowania dzieła, któremu w swoim czasie podołał jeden jedyny człowiek, zastępujący kohortę etatowych uczonych, planowników i wydawców. Możliwe, że wystarczy odmienianie rzeczownika „lud” we wszystkich przypadkach i przymiotnikowych odmianach. To w każdym bądź razie łatwiejsze.

W roku ubiegłym minęło dokładnie 100 lat od wydania kolbergowskich „Pieśni ludu polskiego”; poza naukowcami pamięta o tym chyba tylko zespół „Mazowsze”, w którego repertuarze odnajdzie się niejedno echo melodii przez Kolberga podśluchanych i zebranych. Do stulecia zainicjowania serii „Ludu” brakuje bądź co bądź jeszcze 17 lat. Można więc mieć nadzieję...

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

PAŁAC I KOŚCIÓŁ W WIERZBICY



Wierzbica Górna — salon pałacowy z dekoracją malarską. Na posadzce w roku ubiegłym suszono nasiona rzepaku.

Wierzbica Górna (Dolna leży tuż obok), a właściwie Wierzbica Polska (Dolna zwala się niegdyś Niemiecką), to duża wieś w powiecie kluczborskim w północnej części Opolszczyzny. Sama wieś ma raczej nowszą, niezbyt ciekawą zabudowę i dziś tylko dwa elementy architektoniczne świadczą o jej pierwotnym wyglądzie: kościół i pałac. O pałacu (względnie dużym dworze) nie znalazłem dotychczas w literaturze fachowej żadnej wzmianki. A przecież obiekt ten wart jest nie tylko wzmianki, lecz również obszerniejszego studium.

Nie chodzi mi o architekturę; jest typowa dla okresu i dla obszaru na którym powstała. Parterowy (z piętrem w mansardzie) szeroko rozsiadły budynek o płaskich podziałach fasady. O jego bryle stanowi jedynie ogromny mansardowy dach. Jak zwykle na Śląsku fasada wychodzi niemal wprost na obszerny dziedziniec gospodarczy. Warto dodać, że również część zabudowań folwarcznych nosi cechy zabytkowe. Pałac zbudowany został w r. 1791 o czym świadczy kartusz w hallu.

Prawdziwym skarbem jest więc wewnętrzna dekoracja, a ściślej: zachowane w salonie freski. Powstały zapewne wkrótce po zakończeniu budowy i zawierają w sobie elementy wieku odchodzącego: lekkość epoki chińskich i pasterskich maskarad, a także wieku nadchodzącego: romantyczne rozmiłowanie w starodawnych ruinach, fantastycznych pejzażach i ludowości, nie zawsze złąszą autentycznej. Tak więc ściany salonu o malowanych podziałach pilastrowych i takimże fryzie z roślinnymi festonami, ozdobiono widokami fantastycznej architektury, parkowo-teatralnymi krajobrazami, zaś na nadprożach putta i ptaki igrają wokół fontann. Jednakże jeden z owych wi-

doków przykuwa wzrok czymś innym: jakąś swojskością, jakąś autentycznością wizji. Wystarczy nieco uważniej spojrzeć, a rozpoznaje się natychmiast temat: toć to ulica wiejska Wierzbicy, taka jaką nieznany malarz oglądał około 1800 r. Domki drewniane lub konstrukcji szachulcowej, nakryte brodatymi strzechami, krzywe opłotki i żuraw dumający nad studnią, zaś w samej głębi kościół — tak! — ten sam co i dziś, tyle że obecnie już pozbawiony pierwotnego zwieńczenia wieży — barokowego hełmu o podwójnej latarni.

A więc jeszcze kilka słów o kościele. Powstał w r. 1722 za czasów pastora Maciewskiego (toć właśnie tu — na północnych krańcach Opolszczyzny mowa polska zachowała się aż do ostatniej wojny w nabożeństwach i kazaniach ewangelickich) i należy do nielicznych już dziś na Śląsku sakralnych budowli szachulcowych. Obszerny, jednonawowy z nawą poprzeczną mieszczącą emporę, w słoneczną pogodę przyjemnie mieni się czarno-białą szachownicą ścian. Na jednej z empor zachowała się również dekoracja malarska, skromna zresztą lecz przyjemna: garść liści i kwiatów rozsypanych na stropie. Niestety wieża, która — jak wspominałem — straciła swój pierwotny hełm i prawdopodobnie została nieco obniżona, znajduje się w złym stanie i należałoby pomyśleć o jej reperacji — zanim się nie zwali. A wracając jeszcze raz do pałacu trzeba stwierdzić, że i tam ze stanem zachowania nie lepiej, a nawet gorzej: taki typowy przykład niechlujstwa i niszczytelstwa. Okna powybijane, tynki odpadające ze ścian, brud, nieporządek, a salon posiadający tak cenną dekorację zasypyany po prostu rzepakiem, pokrytym gęstymi hieroglifami mysich wędrowek.

TADEUSZ CHRZANOWSKI



Wierzbica Górna — kościół szachulcowy z r. 1722.



W NASTĘPNYM NUMERZE PRZECZYTACIE O ZABAWKACH LUDOWYCH

Fot. Wacław Nowak

• DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI •

Racibórz obchodził 900 lecie swego istnienia. Jak wspominają kroniki Galla Anonima miasto to zostało założone przez jednego ze śląskich książąt piastowskich.

Z końcem ubiegłego roku na cmentarzu we wsi Lubochnia koło Tomaszowa Mazowieckiego odkryto tajemniczą mogiłę ze szczątkami wielu zwłok. Na podstawie zachowanych dokumentów stwierdzono, że jest to wspólny grób 100 powstańców z r. 1863 którzy padli w czasie bitwy w okolicznych lasach.

Uruchomiony wyciąg krzesełkowy na Nosal — stworzył narciarzom wyczynowcom świetne warunki treningowe.

Ostatnio planuje się pochwylenie żywcem 8200 zajęcy i 3100 kuropatw. Kuropatwy zostaną przewiezione do ośrodków hodowlanych, natomiast zajęce wypuści się na terenie województw: wrocławskiego, katowickiego i koszalińskiego gdzie zwierząt tych żyje najmniej. W okęgach, w których zostanie wypuszczona żywa zwierzyna nie wolno na nią polować w ciągu najbliższych 2 lat.

W r. b. nastąpi odsłonięcie pomnika Stanisława Moniuszki w Parku Miejskim w Częstochowie.

W Delhi istnieje nowocześnie urządzony szpital dla ptaków. W szpitalu tym znajduje się miejsce dla ok. 3 tys. „pacjentów” cierpiących przeważnie na nieuleczalne choroby i nie mogących fruwać.

Ogromna stuletnia palma Areca, znajdująca się w łódzkiej palmiarni w Parku Źródlika zakwitła w r. ub. 3 razy.

Zjawisko trzykrotnego kwitnienia zaniepokoiło jednak fachowców ogrodników. Twierdzą oni że skoro roślina kilkakrotnie owocuje, oznacza to, iż niedługo zginie.

Pierwsze wzmianki o Wieliczce znajdujemy w dokumentach legata Idziego 1123/5 r. Natomiast notatki o kopalni w Wieliczce spotykamy w papierach z r. 1277.

W roku bieżącym przypada 120 rocznica istnienia Biblioteki Polskiej w Paryżu, powstałej w okresie Wielkiej Emigracji po powstaniu listopadowym. Mimo iż w czasie ostatniej wojny Biblioteka poniosła dotkliwe straty, posiada ona obecnie 130 tys. druków w tym wiele pochodzących z XVI i XVII wieku.

W czwartą rocznicę śmierci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego Warszawa uczciła pamięć poety nazywając jego imieniem jedną z uliczek Nowego Świata.

W związku z nieustającym ruchem turystycznym na Łysej Polanie projektuje się: regulację drogi i utworzenie parkingu, postawienie budki turystycznej w której znajdzie pomieszczenie bufet z ciepłymi potrawami, zbudowanie urządzeń sanitarnych, punktu bankowego, poczty i zorganizowanie staraniem Tatrzańskiego Parku Narodowego punktu propagandowego.

W 100 letnią rocznicę urodzin Józefa Conrada Korzeniowskiego przy Zarządzie Głównym Ligi Przyjaciół Żołnierza powstał Klub Marynistów, który zrzesza ludzi interesujących się zagadnieniami morskimi.